

10. 19. 234.
100/65/93

KÓŁKO DOMOWE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY POLSKIM RODZINOM.



ROK PIĄTY.

MIESIĄC STYCZEN.

POSZYT I.

WARSZAWA.

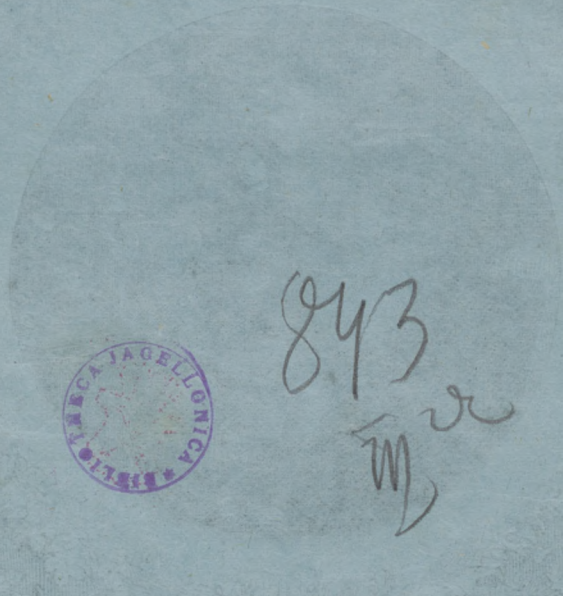
W Drukarni J. Ungra przy ulicy Krakowskiej - przedmieście Nr 391.

1865.

ROZNO DOKŁADY

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ



843
M

Biblioteka Jagiellońska



1002411352

WYDZIAŁ

WARSAWA

W DZIAŁACH

1881

POWIEŚĆ O BAZYLISSIE Z CZEŚNIK.

Mrok szary zapadał po nad sklepieniem wspaniałej świątyni w Chełmie, przed ołtarzem jaśniejącym od ofiar pobożnych, w którym wierni czcili Bogarodnicę w starożytnym wizerunku, klęczała młoda niewiasta wybladła

cierpieniem i łkając tuliła do pierśsi uśpioną dziecinę. Opodal nieco wsparta o filar wieśniaczka, spozierała na nią ocierając rękawem łzy spływające po licu. Cicho i pusto było do koła, a kroki dziada przechadzającego się z wolną zpekniętymi kluczy, przerywały jedynie uroczyste milczenie. Po chwili rozżalona matka powstała snać opamiętawszy się trochę, a druga kobieta przystąpiła do niej mówiąc cichym szep-tem:

— Bóg z wami czestna pani! ale czas wielki rozejść się nam, boć radabym przed północą jeszcze stanąć w domu z niebożatkiem wasz-
szem....

— Prawdę wyrzekłaś Bazylisso, rozstać się trzeba.... gdy tu wchodziłam zdało mi się że zabraknie sił po temu. Teraz Rodzicielka Boża, matka co stała pod krzyżem umierającego sy-

na, natchnęła mię cząstką męstwa swego.. W jej obliczu spełnię gorzką ofiarę... Przynajmniej mi tylko raz jeszcze że czuwać będziesz wiernie nad tém niemowlęciem, a w razie mej śmierci, nie wyjawisz nikomu nazwiska jego, aż

dopóki nie skończy lat szesnastu.... Myślę że wtedy sam czas już za-trze wszelką niechęć, co-by wpierw zatruć mogła goryczą młode lata mej dziewczyczki.... Wieśniaczka słuchała bacznie słów pani, agdyta mówić skończyła, ukłękła i wyciągając ręce do wizerunku Matki Bożej, rzekła z przejęciem wiel-kiem:

— Tak mi do-pomóż Boże w Trójcy jedyny i przena-jświętsza panno Marjo!

— Amen, dorzuciła

cicho młoda matka i wyraźnie gwałt sobie czyniąc oddała dziecię. Bazylissa pochyliwszy się wtedy chciała ucałować jej kolana, lecz ona odepchnawszy ją lekko objęła natomiast wrze-wnym uścisku, mówiąc za ledwie dosłyszczanym od wzruszenia głosem:

— O siostrze moja w Chrystusie, niech Bóg zapłaci poświęcenie twoje!



Wszyscy wyciągali błagalne dłonie do Gwiazdy Zaranne i wnet każdemu spływała pociecha.

Odeszła potem żywo na stronę, a wieśniaczka odgadując przecuciem serca boleść macierzyńską w owej chwili, oddaliła się spiesznym krokiem. Skoro znikła w oddali, młoda pani upadła krzyżem na kamienną posadzkę i tak już pozostała zatopiona w rozmyślaniu czy też w modlitwie, aż dopóki dziad kościelny nie zawezwał jej aby wyszła, gdyż drzwi na noc zamknąć musi. Zeszedłszy z góry skierowała swe kroki do zajezdnej gospody w miasteczku, żyd furman ofuknął ją tam zaraz na wstępie że się spóźniła, a jeszcze mil kilka ujechać muszą, aby dociągnąć przed świtem do miejsca w którym zawsze zwykł popasać. Biedna kobieta pogrążona w ciężkim smutku niesłyszała prawie tego łajania. Zebrawszy wkrótce podróżny tłumoczek siadła do wozu pokrytego skórą, ładownica różnemi gratami które usłużny woźnica zabierał dla współwyznawców. Koła zaturkotały niezadługo po równej drodze, a światła błyszczące w chełmskim klasztorze znikły z przed oczu osieroconej matki; pożegnała je żalosem westchnieniem, jak gdyby ciemność rozpostarta obecnie do koła, miała być wyobrażeniem posepnej i żalobnej nocy jej dalszego żywota.

Tymczasem wózek na którym siedziała Bazyliśsa z dziećciem późno w noc zbliżał się do wsi, gdzie ocieniony rozłożystych lip zielenią, biała na wzgórzu murowany dworzec; ale nie tam skierował powożący wieśniak, jeno minawszy wioskę stanął przed chatą na uboczu pod lasem. Porzuciwszy lejce zeskoczył szybko i wziął z rąk żony uszpioną dziewczynkę aby ją do izby zanieść. Bazyliśsa pośpieszyła za mężem, a wszedłszy padła na kolana przed wizerunkiem Matki Boskiej Chełmskiej zawieszonym na ścianie i wyrzekła z gorącą prośbą:

— O cudowna Bogarodzico! dopomóż mi spełnić przyrzeczenie uczynione biednej matce i czuwaj nad tą dzieciną po wszystkie dni jej żywota!

Nazajutrz dzień mówiono w Cześnikach, że Bazyliśsie żonie Jakóba leśnika podrzucono w nocy śliczne dziecię i wszystkie kobiety z wioski zbiegły się aby je oglądać. Wieść ta doszła wkrótce do dworu dziedzica, pana Mikołaja Głogowskiego kasztelana radomskiego, wnet za drugimi przyszła stateczna już w latach panna respektowa z fraucymeru pani, dowiedzieć się jak to było?

— Jakób usłyszawszy w nocy kwilenie na dworze, wyrzwał i powrócił z dziećciem, mówiła Bazyliśsa.

— Ale czy nie zoczył nikogo? wszak księżyc świecił tak jasno.

— Możecie się z nim rozmówić sami, ot młoci właśnie w stodole na podwórku....

Panna Małgorzata niekazała sobie tych słów powtarzać, w jednej chwili była już u Jakóba i wybadywać go poczęła.

— Czyż być może abyście nawet szelestu niedosłyszeli? mówiła z nieukontentowaniem,

skoro wieśniak niezaspokoił jej ciekawości; u nieboszczki ciotki mojej trafiło się coś podobnego, podrzucono dziecię i długo nikt odgadnąć niemógł skądby się wzięło, aż wreszcie parobczak który był na stróżach, przypomniał sobie że widział wielką sowę niosącą coś w dziobie i jak tylko krążyć poczęła po nad domem, zaraz zakwiliło u progu....

— Wszystko być może, odparł tłumiąc chęć do śmiechu Jakób, gdyby waszmość panna zajęść chciała o północy do zwalisk starego zamku w lesie, dopieroby zobaczyła jakie tam lud sowi wiedzie rozhowory, jakie wyprawia harce.

— Co też wam w głowie mój Jakóbie? a toć-bym umarła chyba ze strachu wielkiego!

— Panno Małgorzato! panno Małgorzato! rozległo się w dali wołanie folwarcznej dziewczki, starościna potrzebuje czegoś z apteczki!

— A to skaranie Boże że i chwili spokojnie pogawędzić niemożna! idę, idę zaraz, zajrę tylko jeszcze do Jakóbowej.

— Muszę obaczyć przecież to niemowlę, mówiła wchodząc powtórnie do izby. Patrzcie, patrzcie, śliczne doprawdy, ale to paniątko jakieś nie żartem! bo krzyżyk złoty ma na piersiach, a na nim wryty napis jakiś.... dajcie tu pod światło niech przeczytam: *Zofia...* a więc to imie małeńkię?

— Tak się zdaje.

— Musi już mieć przynajmniej rok przeszło, a jakie cudne niebieskie oczęta!..

— Starościna czeka na klucze, wtrąciła znów nieśmiało służebna dziewczyna.

— No idę, już idę, tylko nie nudź więcej!..

— Założyłbym się, rzekł Jakób wchodząc po jej odejściu do chaty, że przyszła po ciebie ze dworu aby się wypytować.

— Wątpię bardzo, młoda pani sciągać mię nie lubi, obawiając się nieukontentowania starościny.

— Oho! starościna zapomniała już może czasów w których popadłaś u niej w niełaskę za twe przywiązanie....

— Ona zapomniała! nieznasz jej chyba przerwała Bazyliśsa, prawda że nie widziałeś z bliska tego strasznego gniewania... Panie Jezu Chryste! dziś jeszcze drzę cała gdy na nie wspomnę... Ot nie mówmy już o tém, pogadajmy raczej o doli tego niebożątka które nam Bóg zesłał w miejscu własnych dziełek....

— Niema się jeszcze co o nie troskać, skoro ma w życiu oboje rodziców...

— Ale Bóg sam wie jak ich długo stanie! biedna pani bardzo była strapiona chorobą męża.

— Dałby Bóg, abyśmy kiedyś odwdzięczyli dziećciemu, to co uczyniła dla nas, wszakże gdyby nie zapomoga którą wyprosiła u nieboszczyka ojca niemógłbym cię poślubić.

Płacz dziecka, przerwał rozmową obojga małżonków, Bazyliśsa wzięła je na ręce i uspokoiła wkrótce.

— Droga dusza, rzekła, patrz jak się uśmiecha! odgaduje chyba że jest u najlepszych przyjaciół.

— Ale co za podobieństwo do matki... strach doprawdy aby nieodgadli...

— Bądź spokojny, starościna nie prędko zobaczy Zochnę, a z resztą ona najwięcej ojca swego przypomina.

— I to nie lepiej.

— Zabaczyłeś już widzę że nie powstał nigdy w Zalesiu.

— Ha, prawda, tyle się człek nakłopotał wtedy, że mu się czasem w głowie miesza.

Domniemanie Jakóba o przywołaniu Bazylissy do dworu spełniło się niezadługo; skoro tylko panna Małgorzata rozpowiadać poczęła pani o cudnym dzieciątku, zaraz kasztelanowa widzieć je zapragnęła. Siedziały właśnie obie zajęte dobieraniem jedwabów do rozpoczętej w krosnach roboty, gdy Jakóbową weszła do świetlicy z niskim pokłonem.

— Sama przyszłaś Wasiu? rzekła pani Głogowska, sama? a ja przecież zobaczyć chciałam...

— Czestna pani, przerwała żywo wieśniaczka, wicie dobrze jak nie lubi mię starościna, ilekroć tu zachodzi przekradać się muszę aby jej niespotkać; z dziecięciem na ręku przemknąć się trudno, a nużby się dowiedziała w razie o naszej przygodzie, to zaraz byłyby wybadywania a przypuszczenia bez końca... później gdy dziecię podrośnie to co innego, teraz zaś najlepiej było, abyście sami zaszli do naszej chaty idąc na przechadzkę.

— Tak, nie inaczej, skoro nie możecie być panią w domu waszym, wtrąciła z przekąsem panna Małgorzata.

Kasztelanowa spojrzała na nią z łagodnym wyrzutem.

— Wiesz Małgosiu że przykrość mi sprawiasz, ilekroć odezwiesz się z przymówką do matki małżonka mojego.

— Oj te matki! szeptała jeszcze półgłosem Małgosia, nie darmo mi opowiadano niedawno, że tam gdzieś portret nieboszczki świekry, skrzywił się brzydko na wchodzącą w dom młodą synowę.

Pani Głogowska niby nie zważając na to szemranie, mówiła do Bazylissy:

— Pójdę za twą poradą, ale powiedz mi teraz co począć zamysłasz z tém niemowlęciem?

— Ha, cóżby innego jak chować je w miłości a bojaźni Bożej?

— Niemogłabym ci w czém dopomódz?

— Bóg zapłać za dobre serce wasze miłościwa pani, później może... jeżeli los jaki obmyśleć wypadnie biedactwu temu...

— Nie powinniście się o nie troszczyć więcej, aniżeli własna matka która je porzuciła, odezwała się znów panna Małgorzata.

— A kto wie co ją zmusiło ku temu, rzekła wdychając kasztelanowa, wiesz co Wasiu jak będzie najlepiej? póki dziecię niepodrośnie niech

u ciebie pozostaje, później zaś ja je wezmę do siebie.

Wieśniaczka smutnie wstrząsnęła głową.

— Bóg sam najlepiej opatrzy dolę sierocą, nam nie kłopotać się tém przedwcześnie, rzekła.

— Bazylissa niechętnie przyjmuje ofiarę waszą, mówiła panna Małgorzata wychodząc z komnaty, myśli pewno że podrzutek jej to zakłęta przez czarownika królowna, która z czasem odzyszcze swe państwo.

— Małgosia dziś przemówiła się ze starościna, rzekła z uśmiechem kasztelanowa, to i każdemu swój zły humor uczuć daje.

— Darujcie mi, ozwała się Bazylissa, alenie z ciekawości próżnej, a jeno z przychylności dla was wiedziećbym rada, czy starościna mniej teraz przykra jak dawniej?

— Nie zmieniła się w niczem od czasu zamąż pójścia mojego, przeciwnie, rzecby można że ostrzejsza jeszcze...

— Gdyby miała ludzkie serce w piersiach, nie byłaby sobie i drugim przyczyną do ciężkiej troski.

— Cicho na Boga! cicho Wasiu, przerwała pani Głogowska, zdaje mi się że kasztelan nadchodzi, a za niczym nie chciała aby dosłyszał naszą rozmowę...

Bazylissa uśmiechnęła się gorzko, lecz nie odpowiedziała, bo знаła lekliwość kasztelanowej, która drżała przed mężem i matką jego, a w istocie słyhać było zbliżające się do drzwi mężkie stapanie. Ucałowawszy więc rękę młodej pani, żwawo pochwyciła za klamkę i znikła w ciemnym korytarzu, w chwili gdy kasztelan nadchodził z przeciwniej strony.

Powróciwszy do domu zastała Zosię na ręku Jakóba który jej z oczu i na chwilę niespuścił. Odtąd dzielili oboje pomiędzy siebie pilną a baczną pieczę nad dziecięciem. Pani Głogowska odwiedziła je wkrótce, a raz zobaczywszy tak polubiła, że nieraz to łakocią, to wzorzystą udarowała sukienką. Skoro dziewczynka podrosła w lata, zapragnęła aby ją Bazylissa posełała do dworu. Jakób zawsze wtedy przeprowadzał Zosię. Zdarzyło się jedną razą że spotkali starościna która rzadko kiedy opuszczała swą komnatę. Stateczna niewiasta o dumnej i wgardliwej postawie, zatrzymała się chwilę mierząc surowym wzrokiem drżące dziewczę, potem zaś poszła spokojnie dalej.

— Chwała Bogu, szeptał Jakób, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z piersi, niedopatrzyła widać podobieństwa.

Później bywało że Zosia igrając w dworskim sadzie lub w komnacie pani, schodziła się również z matką kasztelaną, lecz ta nigdy jej łaskawem nie udarowała słówkiem, tak że sierota którą lubili wszyscy we dworze (bo nawet i kasztelan nieraz przechodząc poglądził ją po jasnych włosach), zapytywała czemu pani starościna tak smutna i ponura? ale Bazylissa i Jakób zawsze jej odpowiadali tylko, że Bóg nie jedną nawiedził ją troską, a zresztą nikt

we wsi ani we dworze nie wiedział o jój młod-
szych latach, bo państwo Głogowscy nie zbyt
dawno zamieszkali w Cześnikach, a ze starój
siedziby prócz leśnika i jego żony, przybyła
z niemi jedynie panna Małgorzata, która również
wspominać nie chciała o przeszłości niemilój
sobie niewiasty. Powiadała nawet zawsze, że
jeno afekt gorący dla młodój pani którą wy-
piastowała na rękach, trzyma ją w miejscu
gdzie przebywa starościna. Podczas odwiedzin
swych we dworze, nauczyła się Zosia od kasztel-
lanowój czytać na grubój księdze, od panny
Małgorzaty zaś różnych cudnych robótek, do
których tak wielką okazała zdolność, że już
tém samém zjednała zupełnie serce swój mi-
strzyni. Wychowanie więc dziewczynki jak na
owe czasy zupełnie nie było zaniedbaném, tém
bardziej że niém kierowała Bazylissa, którój
wrodzony bystry rozum i niepospolity hart du-
cha, dawał pierwszeństwo nad wielą kobiet post-
awionych na wyższym szczeblu społeczeń-
stwa. Właśnie gdy Zosia wyszła z pierwszego
dzieciństwa, pani Głogowska straciła oboje ro-
dziców, a że była daleką krewną męża swego,
więc opieka pozostałego jój brata przypadła
z prawa na kasztelana. Bohdanek, pilne i rozu-
mne czternastoletnie chłopie, zamieszkał nie-
bawnie w domu siostry i pomiędzy nim a Zosią
zawiązała się wkrótce serdeczna przyjaźń. Ba-
zylissa widocznie rada była temu i teraz jesz-
cze chętniej niż kiedy pozwalała swój wy-
chowance uczęszczać do dworu. Wypadło na-
wet jedną razą, że zostawiła ją całkiem na
opieczce kasztelanowój, wybrawszy się z mężem
do dawnój włości państwa Głogowskich, jak
powiadała dla odwiedzenia krewnych. Nieobe-
cność Jakóba i Jakóbowój przeciągnęła się
dłużej niż sądzono, panną Małgorzata szeptała
nawet na ucho pani, że dalej gdzieś pojechać
musieli, bo cóżby tak długo robić mogli w Za-
lesiu? a Zosia mimo że jój na niczém nie zby-
wało, że Bohdanek uprzedzał wszystkie jój
życzenia, tęschnić poczynała. W ponury wie-
czór jesienny zjawiła się przeciw z podróży
swój Bazylissa, lecz tak była dziwnie zmienio-
na i smutna, że na jój widok dziewczeczka mimo-
woli zalała się łzami.

— Co ci się przytrafiło Wasiu? mówią
z najtkliwszą pieśczołą.

— Nie wiek twój po temu abym ci rozpo-
wiadała te rzeczy, mam zwyczajnie strapienie,
ale to z czasem zlagodzić się musi...

Daremnie dziewczynka prosiła i przekłada-
ła, nic się więcej dowiedzieć nie mogła, a co
gorzej pozostać musiała jeszcze we dworze, bo
Bazylissa mówiła że ma zajęcie w chacie dla
którego chce być samą przez dni kilka. Kasztel-
lanowa z wrodzoną sobie dobrocią nie
chciała badać czynności wieśniaczki, ani tóż
jój smutku przyczyny, ale panna Małgorzata
o mało nie uszła z ciekawości.

— Nic to innego, mówią tajemniczo, tylko
stary Michał bezdzietny stryj Jakóba umrzeć

musiał, a był to skąpiec mielada, więc talary
bite które nagromadził zakopał pewno tak
głęboko że ich znaleźć niemogli... dojdę tego
wkrótce...

Rzeczywiście aby nie tracić czasu zaraz wy-
pytywać poszła Jakóba, w nadziei że nie bę-
dzie tak skrytym jak żona, ale dowiedziała się
tylko że Michał żyje i zdrow zupełnie; zaczęła
więc tworzyć coraz nowe przypuszczenia jedne
mniej podobne do prawdy od drugich, nie mo-
gąc dojść do ładu z myślami swemi.

Bazylissa tymczasem przebywszy kilka dni
w samotności postanowiła pójść po Zosię i spro-
wadzić ją napowrót do chaty.

— Niewiem czemu nie uczyniłaś tego od
razu, mówił Jakób patrząc na nią, byłoby nam
lżej przeboleć strapienie nasze...

— O nie, wolałam nie widzieć biednej sie-
roty, bo łzy bym ciągle przy niej łykać mu-
siała, a tak przynajmniej mogłam wypla-
kać się do woli. Rada też jestem że pobyła
dłużej z Bohdanem, dziś jeszcze więcej niż kie-
dy powtarzam że bądź co bądź dopiąć swe-
go muszę...

Podczas gdy Bazylissa spieszyła po swą wy-
chowankę, panna Małgorzata w dowód wiel-
kiego zaufania dla dziewczęcia, poleciła mu
wyszukać czegoś wskarbcu, od którego klucza
dotąd nie powierzała nikomu. Zosia była pilną
w spełnieniu danych jój poleceń i roztropną
niezmiernie, natychmiast więc wynalazła żąda-
ny przedmiot i już wydałać się miała, gdy na-
głe wzrok jój padł na opylony wizerunek nie-
wieści stojący na uboczu. Ciekawość z którój
sobie nie umiała zdać sprawy, powiodła ją ku
niemu, a gdy raz spojrzała z bliska wto cudne
oblicze, już wzroku od niego oderwać nie mogła.
Stała tak długo w głębokiej zadumie niby
niewidzialną siłą przykuta, snując w myśli
dzieje tój pięknej i bladój pani, aż wreszcie oc-
knąwszy się z marzeń swoich. „Kto ona?“ za-
wołała głośno. Nikogo nie było wskarbcu, więc
odpowiedzi odebrać nie mogła, wnet przyszło
jój do głowy aby pobiedz z obrazem do panny
Małgorzaty i zapytać jój kogoby przedstawiał?
Zamknąwszy skarbice przeszła szybko szpaler
wiodący do dworu i dopiero w chwili gdy próg
przestąpić miała, ogarnęła ją trwoga czy pan-
na Małgorzata gniewać się nie będzie? Chcia-
ła już powracać, gdy nagle drzwi się rozwarły
i stanęła przed nią starościna. Na widok obra-
zu będącego w ręku dziewczeczki, lica matrony
zapłonęły gniewem, usta konwulsyjnie zadrga-
ły i wybiegły z nich obelżywe wyrazy.

— Jak śmiesz niegodziwa dziewczyno wdzie-
rać się w tajemnice naszego domu? Zkąd wzię-
łaś ten nieszczęsny wizerunek, który już odda-
wna istnieć nie powinien?

Zosia jękneła boleśnie, upuściła z rąk obraz
który się potoczył u nóg starościny i zapłakała
zakrywając twarz rękami.

— Precz mi z oczu nędzny podrzutku, precz
z tym obrazem! zawołała groźnie pani Gło-

gowska, cofając się blada i nieprzytomna prawie.

Jakby na obronę niewinnie pokrzywdzonej sieroty, w téjże chwili zjawiała się Bazylissa, a tuż za nią z przeciwnej strony wybiegł Bohdan z kasztelanową.

— Hamujcie porywcość waszą czesna pani, zawołała z oburzeniem szlachetna wieśniaczka, bo na Boga! ród Zochny nie ustępuje wniczém waszemu...

— A więc wiesz kto ona? odgadłam od razu że oszukiwałaś nas tylko kłamaną powieścią, nie pokazuj mi się na oczy jeżeli chcesz aby cię minęła kara za obłudę twoją!...

— Nie lękam się kary spełniając święty obowiązek względem tego dziecięcia, nie macie nad niem litości, zarówno jak nad nieszczęśliwą, której wizerunek u nóg waszych tarza się w prochu. Dziś ustam oje krępuje przysięga ale kiedyś poznacie całą prawdę i pożałujecie gorzko słów waszych.

— Śmiesz mi grozić poddanko zuchwała! o tego już za nadto!... wyszept

ptała starościna pochylając głowę na ramię. Synowa wraz z Bohdanem pośpieszyła na jej ratunek i zanieśli omdlałą do komnaty, podczas gdy Bazylissa wprowadzała tonącą we łzach Zosię. Kasztelanowa z najwyższą obawą oczekiwała powrotu do zmysłów świerki, sądząc że jednocześnie na straszną zanieś się burzę, ale z wielkiem jej podziwieniem, starościna i słowa nie wyrzekła więcej o tém co zaszło i oddaliła się spokojnie do swój komnaty. Odtąd tylko więcej niż kiedy przesiadywała u siebie i rzadko bardzo widywano ją w innych stronach domu. Zosia też niepostała już więcej u młodej pani, która sa-

ma ściągać jej nieśmiała z obawy matki. Kiedy niekiedy tylko panna Małgorzata przybiegała do chatki leśnika i udzielała wiadomości o tém co zaszło we dworze. Dowiedziano się od niej że Bohdan wysłany został do pokrewnego państwu wojewody, aby się tamże ćwiczył w potrzebnych mu umiejętnościach. Po wypadku ze starościna, Bazylissa musiała opowiedzieć Zosi, że przysięga co do zachowania tajemnicy jej rodu, trwa tylko dopóki nie skończy lat szesnastu. Łatwo odgadnąć że sierota czekała niecierpliwie téj chwili. Rokrocznie

w dzień urodzin, Bazylissa woziła ją do Chełma, a była to najmiłsza podróż dla dziewczeczki, w której serce pobożna wieśniaczka wpoila głęboką cześć i miłość dla Marji. W piętnastą rocznicę Zosi, przy wejściu do świątyni Bazylissa rzekła do niej głosem wzruszonym:

— Od dziś za rok Zosienko poznasz stan i nazwisko rodziców twoich, módl się aby dzień ten był zarazem dniem pomysłności jakiej pragnę dla ciebie.

Serce młodej dziewczy-

ny zakołatało silnie w piersi na te słowa, a myśl wybiegła mimowolnie w przyszłość nieznaną. Przykłęknawszy kornie przy wejściu, mimowolnie później uległa roztargnieniu i zamiast się modlić uważnie jak za zwyczaj, spoglądała tu i owdzie po kościele napełnionym ludem. Nagle wzrok jej padł na młodzieńca smukłej i wdzięcznej urody stojącego w oddali, zdało jej się że poznaje rysy jego i coraz trudniej mogła zebrać myśli do modlitwy. Gdy wyszły z kościoła z Bazylissą, młodzieniec ów pośpieszył za nimi.

— Cóż to niepoznajecie mię widzę? mówił zatrzymując je w pośrodku drogi. Od



Przeszłam spokojnie pomiędzy uspięciem żołnierstwem.

wróciły się wtedy i radośnie pozdrowiły Bohdana.

Przybywszy do Cześniak aby czas jakiś spędzić w domu siostry, Bohdan znalazł że młoda towarzyszką jego dzieciństwa, wyrosła na najpoważniejszą dziewczynkę jaką napotkał kiedykolwiek w życiu. Łatwo odgadnąć że pochała ją wkrótce, a Zosia odpłaciła mu wzajemnością. Bazyliissa niesprzeciwiała się uczuciom obojga młodych, przeciwnie ośmielała ich zapewnieniem, że wkrótce usunie wszelkie przeszkody. Nie dziw że uwierzyli łatwo temu czego najgoręcej pragnęli, że miłość ich z każdym dniem wzrastała. Bohdan niejednokrotnie odwiedzał Cześniaki, a zawsze uciekał ze dworu pod pozorem polowania i przebywał długie godziny w chatce leśnika. Przed końcem roku wyjechał znów aby powrócić już na sam dzień urodzin Zosi i wtedy wraz z nazwiskiem ulubioniej, wyjawiał kasztelanowi siostrze miłość swoją. Często kroć zdarza się że im bliżej jesteśmy celu zabiegów naszych, tém większy niepokój ogarnia duszę, trwożną tęsknym wyczekiwaniem upragnionej chwili. Pożegnanie było tą razą rzewniejsze niż kiedy; wkrótce jakby na usprawiedliwienie smutnego przecucia które ogarnęło nie tylko Zosię, lecz wierną jej Bazyliissę i poczciwego Jakóba przy rozstaniu z młodzieńcem, wybuchł na pograniczu pożar wojny z pogaństwem i zaświecił grobową łuną po nad cichemi wiejskimi zagrody. W jednej chwili znikł spokój tysiąca rodzin zagrożonych utratą mienia i najdroższych sobie istot, Zosia modliła się i płakała, gdyż Bohdan wraz z drugimi poszedł na tatarzy, a była to pierwsza jego wojaczka. Kasztelan wysłał matkę z dziećmi do Lwowa, a sam z żoną czekał jeno zbliżenia się nieprzyjaciela, przygotawszy sobie na ten cel kryjówkę w borze. Pewnego wieczora krwawa łuna zapalonych sąsiedniej wioski, dała znać o zbliżającej się czerni pogańskiej. Ruszyli się wszyscy w Cześniakach do ucieczki i Jakób uprowadził żonę i Zosię w znajome sobie niedostępne knieje. Po trzech dniach dopiero, gdy już przeszła groźna burza, biedni mieszkańcy wyszli ze swych kryjówek. Brakło pomiędzy nimi nie jednego co w drodze spotkał się z nieprzyjacielem. Kasztelanowa i panna Małgorzata nie dostrzegłszy nigdzie Bazyliissy, Jakóba i Zosi, czyniły na wszystkie strony poszukiwania i dowiedziały się wreszcie z wielkim smutkiem że Zosia sama tylko ocalała przypadkiem; uderzywszy bowiem głową o pień drzewa, upadła omdlała w krzakach, właśnie wtedy gdy napadnięci zostali. Po za zasłoną liści niedostrzegł dziewczynki tatarzyn dziki, który pojmał w jassyr Bazyliissę przesywszy pierw strzałą pierś Jakóba, walczącego w jej obronie. Jeden z knieci ukryty w pobliżu widział wszystko, a gdy oddalili się najezdźcy zabrał Zosię do swej chaty. Pani Głogowska sprowadziła ją natychmiast do siebie, Biedna dziewczyna le-

żała w ciężkiej niemocy, a jeżeli chwilami odzyskiwała przytomność, to wnet ją traciła wspomniawszy na żal i osierocenie swoje. Pewnego dnia, mimo troskliwych starań jakimi ją otaczano, zdawała się już blizką śmierci, przyszło tedy na myśl kasztelanowej ofiarować ją do Chelma, pobożnym naddziadów obyczajem. Za łaską Bożą od owiej chwili przesiliła się choroba i wkrótce nawet Zosia opowiedzieć była w stanie sen czy widzenie cudowne, które dodało jej otuchy i wpłynęło zapewne na uzdrowienie. Skoro tylko pani Głogowska ślub swój uczyniwszy zawiesiła nad jej łóżem chełmski wizerunek, przymknęła zmęczone długą bezsennością powieki; niezadługo potem ujrzała wśród obłoków w przedziwnym blasku i chwale, unosząc się po nad ziemią Królową niebios. U stóp Jej klęczał lud mnogi zebrząc litowania; a był w tym tłumie i panujący podówczas miłościwie najjaśniejszy Jan Kazimierz i kmiecie trzymający w ręku obraz Bogarodzicy czczonej w chełmskim kościele i szlachta i towarzysze pancerni z wizerunkiem Marji na chorągwi swojej. Wszyscy wyciągali błagalne dłonie do *Gwiazdy Zranniej* i wnet każdemu splotła pociecha. Widząc to Zosia powstydziła się swęj rozpacz i wraz z drugimi westchnęła do pocieszycielki strapionych, a błoga nadzieja wstąpiła również w jej serce.

Niezadługo potem skoro pokój zawitał do koła, starościna odesłała wnuki ze Lwowa, donosząc że sama osiada tam na resztę życia w klasztorze Dominikanek, co ucieszyło niezmiernie pannę Małgorzatę a może i kasztelanową lubo się do tego przyznać nie chciała. Bohdan też powrócił szczęśliwie ze swęj wyprawy, a ośmielony nieobecnością matki kasztelanowa i tém wszystkiem co zaszło, wyznał siostrze miłość swoją. Pani Głogowska zawsze nieśmiała i trwożliwa przelekła się bardzo tego wyznania, bo znając męża pewną była że nie zezwoli nigdy na związek krewnego swego z nieznaną dziewczyną. Rozesłano na wszystkie strony gońców dla zaczerpnięcia wieści o Bazyliissie, sądząc że wśród drogi może ujść zdołała. Bohdan niezmordowany był w poszukiwaniach, a Zosia dodawała mu otuchy, bo od czasu jak powstała z choroby, krzepiło ją widzenie jaśniejszej przyszłości mimo ciężkiego strapienia obecnej chwili. Gdy jednakże rok mijał w próżnym oczekiwaniu, a nie miała znikąd wieści o swęj opiekunce, skrycie trapić się znów poczęła. Często kasztelanowa napotykała ją we łzach zatopioną.

— Trudno mi bardzo żyć dalej z myślą że nie ujrzę już więcej drogiego oblicza Wasi mojej, odpowiadała, skoro chciano ją pocieszyć. I w stocie niepokój o los zacnej wieśniaczki, dręczył ją więcej może niż niepewność własnej przyszłości. Bohdan również posmutniał, a nieprzewidując lepszego końca tej sprawy, wyjawiał kasztelanowi miłość swoją. Gniew panna Głogowska nie znał granic. Nie tylko za-

przysiągł że niezezwoi nigdy na połączenie krewnego z *podrzutkiem*, lecz nadto jeszcze mimo prośb żony, wydalil natychmiast Zosię ze dworu. Biedna sierota powrócić musiała do opustoszałej chaty gdzie upłynęło szczęśliwe jej dzieciństwo i byłaby upadła pod ciężarem strapienia swego, gdyby pocziwa Małgorzata oburzona postępkiem pana wraz z nią niezamieszkała. Bohdan śmiertelnie zagniewany na szwagra, opuścił również dom jego i poprzyściągł niepowracać tam w pierw aż odzyskawszy swe dziedzictwo będzie mógł zaślubić ulubioną.

Miesiąc cały zbiegł od czasu tych wypadków, gdy pewnego wieczora zakołatano do chatki pod lasem, a skoro panna Małgorzata umierając ze strachu uchyliła drzwi ostrożnie, kobieta w szarym stroju pielgrzymim stanęła na progu.

— Wszelki duch pana Boga chwali, zawołała przerażona Małgosia, sądząc że ma do czynienia z widziadłem.

— I ja Go chwale, odparła spokojnie nieznajoma. Na dźwięk tego głosu Zosia porwała się z siedzenia, wybiegła potem nieprzytomna prawie z izby i padła ze łkaniem na piersi pielgrzymki w której poznała Bazylisę.

Nazajutrz gdy Bohdan przybył w odwiedziny do chaty siedział obok Zosi, a panna Małgorzata patrzyła na nich wesoło, Bazylissa wszczęła opowiadanie swoje w tój treści:

„Wiecie już,“ mówiła ocierając zapłakane oczy, „jak biedny Jakób mój zginął w walce z pochańcami którym popadliśmy w ręce. Oderwano mię od martwego ciała męża i w jasyr zabrano. Oj biedaż to była bieda! opuszczać rodzinną ziemię z sercem zakrwawionem od srogiego bólu, a iść wkraj daleki pomiędzy pogany które się nie użalą niedoli. Ale co Bóg przeznaczy człowiek wytrzymać musi, choćby mu się zdało nad siły. Nie jeden z tych co szli wraz zemną, przypadał do ziemi z wielkim lamentem i płaczem wzywając rychłej śmierci, pewien że nie wytrwa w męce, ale gdzie tam wszyscy prawie doszli do kresu wędrówki. Trzeba wam wiedzieć że szpiegi tatarskie co i nie źle umieją polską mowę, straszili że skoro gnani jak zwierz dziki staniemy na miejscu, to zapędzą nas jeszcze dalej sprzedawszy turkowi, a pokazało się że prawdę mówili. Co do mnie tak srodze bolałam nad śmiercią Ja-

kóba i rozłączeniem z Zochną w chwili gdy jej szczęście zabezpieczyć miałam, że nie czułam już innój zgrzyzoty. I cóż na to powiecie? nie troszczyłam się o dolę moją, a trafiłam lepiej jak drudzy. Gdy już stanęliśmy w siedzibach tatarskich wybierano więźniów których miano ślać do tureczczyzny i nakładano na nich ceny. Skoro dowiedziano się że służyłam przez większą część życia w pańskim dworze, odstawiono mię na bok jako towar szacowniejszy, a rychło potem powiodłszy do turek, sprzedano baszy do zarządu nad ochędostwem haremu. Nie jeden wtedy zazdrościł losu mego i doprawdy gdyby nie żalność i tęsknota za krajem, byłoby mi tam i nie najgorzej. Staralam się jak mogłam dogodzić każdemu, a czas wolny od pracy trawiłam na modlitwie. Wszystkie kobiety okazywały mi przychylnosc, a gdy niektóre wybrały się za panem co prowadził wojska na Wołoszczyznę i mnie zabrały wraz z taborem podróżnym. Póki byłam ciągle w jednym miejscu przemknęła mi niekiedy myśl uciezki, gdy zaś wyruszyliśmy w pole ogarnęła całe moje jestestwo. Modliłam się zawsze gorąco do Matki Zbawiciela naszego, teraz zaś oddałam się cała w Jej opiece, a wspomniawszy na łaski które wyjednała wiernym w Chętnie, ślubowałam zawiesić w tamecznej świątyni srebrne serce, zakupione uzbieranym groszem, jeżeli powrócę do kraju gdzie mogiła Jakóba porasta zielenią, gdzie Zosienka czeka mnie z utęśchnieniem... W dzień trudno było pomyśleć o ucieczce, bo wszędzie baczne rozstawiono strażę, lecz pozostawała noc dla zmylenia ich czujności. Pomnąc że Bóg dopomaga jedynie ludziom którzy poleciwszy Mu skutek swych zabiegów, nie szcędzą pracy aby te spełnione zostały, przez dni kilkanaście przepatrywałam położenie obozu, żeby potem i wśród ciemności trafić na bezpieczne przejście. Pewnej nocy wybrałam się wreszcie w podróż. Za przyczyną mój Orędowniczki w niebie przesłałam spokojnie pomiędzy uspienem żołnierstwem. Zdarzyło się czasem że jaki taki na wpół przebudzony pytał: kto idzie? Tamowałam wtedy dech w piersi przystając póki go znów sen nie zmorzył. Odzianą byłam białym rańtuchem, nie jeden może wziął mię za widmo bo odwracał z przestachem sennie oblicze.

(D. n.)

UROCZYSTOŚĆ W ŻÓŁKWI. *)

Żółkiew 13 Aprilis 1694.

Odprawił się tu dziś akt bardzo piękny, oddania *ordinis* (orderu) Duchu Ś. Jmć panu

markizowi z Arquinu takim sposobem: Najprzód Jmć pan markiz był pasowany na kawalera Ś. Michała i Ś. Jerzego od króla Jmci,

*) List ten wyjęty z oryginalnego rękopismu ze zbiorów ś. p. Konstantego Świdzińskiego; z tychże zbiorów pochodzi portret markiza d'Arquin który tu

dajemy. Order Ś. Duchu doręczony przez króla Jana ojcu żony, przysłany był temuż przez króla francuzkiego Ludwika XIV.

bez wszelkich okoliczności, tylko kłękął w pokoj przed królem, a król kłęczącego zwyczajnie po prawém i lewém ramieniu dotknął, mówiąc francuzkie słowa wyrażające ten sens: że go czyni kawalerem. Potém taka uroczystość: ubrał się król Jmśc w kapę *ordinis huius* (orderu tego) aksamitną czarną, kwiatami nakształt ognistych promieni porzucaną. Kołnierz miała okrągły z materji zielonej wznaki wojenne haftowany, co i na około płaszcz. Jmć pan markiz ubrał się w habit biały z materji jedwabnej i trzewiki takież, na wierzchu płaszczek krótki czarny, kapelus z bindą djamentową pod piórami. Na mistrzów obrędu obrane te osoby: Jmć pan poseł francuzki kanclerzem *ordinis* (orderu), Jmć pan wojewoda mazowiecki podskar bim, Jmć pan gdański prepozytem, Jmć pan referendarz koronny sekretarzem i dwaj kawalerowie francuzcy niby *magistri ceremoniarum* (mistrze ceremonji). Ruszono się z zamku z samych pokojów, przy odgłosie trąb innej muzyki *eo ordine*



HENRYK DE LA GRANGE D'ARQUIN
kapitan gwardji szwajcarskiej księcia orleańskiego, później kardynał;
ojciec Marji Kazimierzy Sobieskiej.

(w takim porządku): Najpierw poprzedały trąby marsz grając, za niemi dwaj pomienieni kawalerowie francuzcy, potém w jednym szeregu podskarbi, prepositus i sekretarz, w sukniach jakie który miał, kanclerz osobno sam jeden. Pan markiz szedł zaniemi, dopiero Król Jmśc ubrany jak wyżej, przy nim królewiczowie Jmć *et assistentes* (i assistenci) pomagający płaszcz dźwigać. Warty od zamku do kościoła stały z chorągwiami i muzykami. Królowa Jmśc najprzód do kościoła zajechała i siadła w miejscu zwyczajnem pod baldachinem. Osoby należące do ceremonji przyszedłszy z królem dokościoła, stanęły w tym porządku jakoszy przed wielkim ołtarzem. Jak tylko król Jmśc usiadł na wielkiem krześle przygotowaném na środku kościoła, tak wszystkie osoby przed nim stojące ceremonialny uczyniły mu ukłon naszą staropolską modą, to jest z przy-

chyleniem jednego kolana. Najprzód uczyniły ten ukłon przed ołtarzem, potém odwróciwszy się do króla Jmści drugi ukłon, a trzeci na bok do królowej Jmści. Po skończonych ukłonach wszyscy zasiedli na stołkach. Kanclerz, prepositus, sekretarz i podskarbi siedli bokiem prawym ku ołtarzowi, za niemi w tyle damy, na przeciw zaś Jmć pan markiz. Kazanie zaraz się zaczęło, prawil je Jegomość ksiądz Kałuski stosownie do uroczystości. Po kazaniu wyszła Msza na której osoby mianowane siedziały aż do *Sanctus*. Po *Sanctus* każdy już kłękwał przy stołku swoim aż do podniesienia Hostyi, usiedli znów dopiero gdy Msza się skończyła.

Urzednicy *actus* (aktu) weszli wtedy pod baldachim na tron, na czterech gradusach sukmem przykrytych, naprzeciw krzesła królewskiego ustawiony. Wtedy przyszedł król Jmśc i usiadł, przed którym Jmć pan markiz kłękwał i wykonał przysięgę *cum professione fidei* (z wyznaniem wiary). Potém zdjęto mu płaszcz z krótki, a włożono taki jaki

był na Królu Jmci. Kładąc płaszcz mówił Król Jmśc pewne słowa francuzkie, potém łańcuch z Duchem Ś. kładł, co przyjąwszy pan markiz ucałował rękę królewską, szedł do stolika i podpisał się na konfraterję. Z kościoła powrócono w tymże porządku co pierwój, poczem Król Jmśc i pan markiz, już rozebrani z ceremonialnego stroju zasiedli do bankietu. Bankiet przygotowany w pokoju kędy państwo *a solennitate* (w dniu uroczyste) jadają, u którego te osoby siedziały: Król Jmśc *in medio*, po lewej królowa, królowna i królewic Konstancy, po prawej Jmć pan markiz i królewic Aleksander. W rogu stołu Jmć panie: wojewodzina kijowska, wołyńska i kasztelanowa kamieniecka. Przed stołem Jmć pan wojewoda mazowiecki, Jmć pan kasztelan gdański i rezydent wenecki, z drugiego rogu Jmć pan poseł francuzki, brat Królowej Jejmości i siostrzeniec téjże.

ISOTTA.

Urywek historyczny z dziejów włoskich XVI wieku

PRZEZ

CEZARA CANTU.

W tym miłym wieku, między ósmnastą a dwudziestą laty, często, czy dla przyjemności czy z potrzeby, przebywałem jezioro Lario od miasteczka Lecco do Colico, a ponieważ wtedy ani w zamiarze nawet nie istniała droga lądowa, która dziś, choć prawda nie oddawna, cudem jakimś już jest skończoną dla wygody publicznej, ani też nie chodził po wodzie statek parowy, który prawda dziś już ustał, trzeba było odbywać tę podróż na zwyczajnej łodzi, która odbijając wieczorem, nad rankiem dobijała do kresu. Towarzystwo bywało zwykle rozmaite, po większej części kupcy wracający z jarmarków, wieśniak, kobieta. Rzadko bywało z kim porozmawiać; to też noc przechodziła w milczeniu, które czasem tylko przerwała modlitwa jaką za duszę zmarłych zanosił najstarszy z przewoźników, przy wtórce obecnych.

Jedna z takich nocy jaśniejszą była niż inne, a ja przy blasku pełni księżycowej stanąłem na skraju, trzymając się za obręczę żagla i puściłem bieg marzeniom, jak to czynić się zwykło w dwudziestym roku życia, podczas milczącej nocy, w pośrodku jeziora i z tyłu dziewiczemi, jak podówczas moje, nadziejami. Dziś zjściło się ich najmniej, wiele pozostało jeszcze w łonie przyszłości, ale najwięcej z nich spełzło, pozostawiając za sobą gorzkie rozczarowanie. Otóż wtedy obróciwszy się, spostrzegłem przy sobie księdza w średnim wieku, przyjemnej powierzchowności, który także patrzył i marzył.

Między dwoma ludźmi jednakowo na dobre usposobionemi łatwo zawiązała się rozmowa. To on wyszczególniał mi poszukiwania uczonych na wybrzeżach tego jeziora; to ja ukazywałem mu dziwny efekt pieców wapiennych świecących jak wulkany na szarych ramionach góry, on zwracał moją uwagę na rozbite skały, mówił mi o klasztorach jakiejś królowej Teodolindy, która miała wznieść tę wysoką wieżę na Varennie; ja znowu pokazywałem mu bruzdy z niewiadomej przyczyny marszczące się na wodzie. „Patrzcie,“ mówiłem, „jaki czysty ten szafir niebios! Czy te gwiazdy rozsypałe po nim nie wyglądają jak wysepki światła na oceanie powietrznym?“

— Tak, odrzekł, któż wpatrzywszy się w nie, nie zapragnie żywo wzbic się ponad nie i zanurzyć się w świetle jeszcze czystszej i nieśmiertelnej?

I zamilkliśmy i patrzeli na niebo, na górę, na jezioro.

Przepływalimy nad Olcio, a z łoża wód czerniał przylądek Bellagio, który jezioro prze-

bija na dwoje, i między podróżnemi wszczęła się rzecz o właścicielu tamecznego dworca.

— Ale ludzie niegdyś tam mieszkający, (mówił jakiś staruszek), nie byli zawsze tak dobrzy jak terazniejszy pan hrabia, księże proboszczu?

— Oj prawda, odpowiedział ksiądz, dziwne o nich opowiadają rzeczy, ale wielkie jest miłosierdzie Pana Boga, może On i im przebaczył.

Nie lubiłem ja poprzestawać na wzmiankach, prosiłem go więc aby mi coś obszerniej o tém rozpowiedział. Usiedliśmy; podróżni zaczęli także wyciągać uszy; proboszcz zaś z tym dobrodusznym wyrazem, który tak przystoi kapłanom Boga miłości, zaczął:

— Przed trzystu laty widziany przylądek Bellagio przedstawiał takiż sam jak dziś wdzięk natury, ale ręka sztuki go nie dotknęła. Las dębów i jodeł czerniał już i wtedy ale świeżuchny, a pośród niego wyzierały mury najeżone basztami, pełne otworów, które niejednokrotnie zionęły śmiercią na statki płynące po jeziorze, a szczególnie też w ciągu wojen Jana Jakóba Medeghino, kasztelana z Musso. Mury te zamykały ze wszech stron zameczek który jeszcze się trzyma, wzniesiony przez margrabiego Stanga, co godność tę otrzymał z rąk Sforziów, władzców Medjolanu, zameczek podówczas już tak piękny, że księżęta i królowie udawali się tam na mieszkanie. Nieopodal widać było prostą dzwonnice, pod którą stał kościółek i klasztor kapucynów. Dziwny kontrast błogosławionego pokoju z wściekłością wojny, mnichów i rycerzy, cierpień i pociech, śpizów z których jedne zionęły śmierć, a drugie podczas burzy kierowały łódź zbłąkanego żeglarza.

Wrzawa jednak wojenna ustała od czasu jak Karol V. uspokoiwszy Medeghina i wyparowałszy go z tamtąd opanował całe mediolańskie i koniec położył fajakom.

Alenie ucichła burza w umyśle Isotty, władczyni tego zamku. Piękna i świeża, choć już prawie trzydziestoletnia, w sukni z czarnego aksamitu, przy fartuszkach z cieniutkiego musliu, z oczyma w których wieczny panował niepokój, siadała samotna na tarasie, z którego wzrok idąc w kierunku Tremezziny jeszcze nie zasianej podówczas miastami, ginął daleko na górach doliny Inteloi, wpatrując się w słońce które schylone za szczytami S^{go} Zenona, ostatnim błyskało promieniem, drżącym światłem barwiąc spokojne jezioro.

Godzina rozmyślenia. Któż z was jój nie czuł w sobie? kto nie doznał słodkiej melancholji,

miłego zwrotu w samego siebie, w przeszłość, na widok gwiazdy wieczornej świecącej niepewnym blaskiem? Miły to zwrot dla każdego, co uskarbił sobie słodkie i cnotliwe wrażenia; ale inaczej było z Isottą. Spokój natury, daleki śpiew wieśniaczek wracających z winobrań, cichy bieg jakiejś łódki, zwracał jój umysł do cichych myśli, do pierwszej młodości. Stawał jój wtedy przed oczyma ten czas, kiedy jako uboga, niewinna dziewczeczka, spokojnie błądziła po polach na których Po łączy się z Addą, między twierdzą Pizzighettone i wieżystą Kremoną; przychodziła jój na myśl tkliwa miłość ojca, matki, siostry; widziała dnie jednakiego spokoju i wieczory spędzane na czytaniu modlitw, które spokojniejszym jeszcze czyniły spoczynek nocny. Potem występuje ten dzień, w którym Lucillo, syn margrabiego Stanga, wiódł w tę okolicę hałaśliwe polowanie i przybywszy pod wieczór, zatrzymał się na nocleg w jój rodzinnej chacie. Ależ ten dzień był ostatnim dniem jój spokoju. Panicz znał kunszt podobania się dziewczętom, dziewczyna była nieostrożną, nie starczyło ojcowskich starań na wykorzenienie z jój serca wzrastającej pychy. On mówił ona go słuchała i dziewczyna ze wsi została damą w pałacach kremoneskich, pieczołą na łonie zabaw.

Nie miłość jednak ale pycha sprowadziła ją do pałacu możnowładcy. To też on wkrótce wzgardził kobietą niskiego pochodzenia lub inne nad nią przeniósł, ona zaś nigdy nie kochając szukała rozrywki i zapomnienia. Lucillo któremu honor nie pozwalał strącić napowrót tę dziewczynę do nicości, z jakiej ją wywiódł i oddać na łup zepsutemu towarzystwu, postanowił wprawdzie oddalić ją, ale tak żeby mogła żyć odpowiednio stopniowi na jakim on ją postawił.

Zamek w Bellagio zbudowany został przez jego ojca wygodnie i wspaniale. Ale odkąd jezioro stało się polem wycieczek stronników Francji i Hiszpanji, zamek ten przestał być przybytkiem wiejskiego spoczynku i stał się teatrem codziennych walk. A było jeszcze gorzej kiedy zagnieździł się w Musso straszny Medeghino, który silny pozycją i odwagą, potrafił tyle lat opierać się wytopiającej potędze Karola V. i Franciszka I. Ten tedy opuszczony zamek wyznaczył Stango na mieszkanie opuszczonej Isotty, ażeby na przyjemnym i wolnym wygnaniu życie przepędzała. Kiedy Medeghino został wyparowany ze swój jaskini, ona zebrała około siebie kilku pozostałych po nim żołdaków, kilku wioślarzy; lubiła jak on wybiegać na jezioro kiedy było najburzliwszym; jak on dokazywać i straszyć i może łudziła się pozyskaniem równiej jemu łotrowskiej sławy. Czy widzicie to miejsce wzniesione wyżej? Jeżeli kiedy zwiedzać będziecie to rozkoszne wzgórze, pokażę wam głęboką przepaść, w którą Isotta wrzucała ofiary swoje. Tak przynajmniej niosą wieści, które zazwyczaj lubią przesadzać złe.

Otóż to takim różnym biegiem życia płynęła znudzona jój dusza, rozpamiętywała nieszczęścia i występki i czuła w sercu wyrzut, który chciałyby była utaić sama przed sobą, ale który nalegającym głosem odzywał się w jój wnętrzu.

Od niejakiego wszakże czasu zaczęła ona czuć coraz żywiej tę wewnętrzną walkę i uważała, że ażeby wrócić z honorem do towarzystwa, musiałaby wziąć za przewodniczkę, albo pokutę surową, albo miłość uczciwą. Ale pokuta nie zgadzała się z gnuśnym trybem jój życia; ciężkie nieszczęście, strata niespodziewana możeby ją do niej przywiodła; ale obecna nuda utrzymywała w niej tylko niepewność zwątpienia nie zaś stanowczość w postanowieniu. Tamta druga droga bardziej ją nęciła, zwłaszcza od czasu jak w okolicy tej zjawił się kawaler Gwalbert Morone. Był on synem Girolama Morone, hrabiego Lecco, najpotężniejszego w swoim czasie w obec Francuzów i Hiszpanów, który korzystając ze sprzyjających ówczesnych politycznych okoliczności, jednego z synów umieścił na biskupstwie modenskiem a tego drugiego właśnie przeznaczył do spraw publicznych. Ten z natury myślący i kochający ojczyznę, pośród walki toczącej się podówczas, z boleścią patrzył na drobnych władców walczących nie już dla praw a choćby dla dumy, ale po prostu na skiniwie obcych; widział ostatnią odrośl rodziny dziedziczącej swobodę i ucisk Lombardji, Franciszka Sforzę, który ogłupiał i chory, upadał pod ciężarem zwierzchnictwa gniołącym jego barki; widział księstwo wystawione na łup podstępów i oręża cudzoziemców; widział nareszcie po tém wszystkim haniebną pokój, w skutek którego synowie rodziców spodziewających się zostawić im przy śmierci jakąś przyszłość, jakąś mającą dojrzeć nadzieję, narażeni byli tylko na upodlenie się i zgnicie.

W tém dało się słyszeć z głębi łodzi ziewanie, które opamiętało poczciwego księdza, kiedy, gdzie i do kogo mówi, to też pomiarkowawszy niewczesny zapal z jakim wypowiedział ostatnie wyrazy, mówił dalej:

Znękany tém wszystkiem kawaler, wycofał się z wojskowości i spraw publicznych i dla rozerwania umysłu przybył w te ustrome okolice. Wiekiem przechodził lat 35; na czole jego malował się nawyk do szerokich myśli, a ponieważ te ustąpiły, pozostała po nich w duszy jego żalonna próżnia. Wiódł on tu życie błądząc po jeziorze, spinając się po szczytach gór przy pomocy kija, dobrze świadcząc gdzie tylko się zdarzyło. Kiełkowały też w nim naówczas myśli o miłości, które przedtém nie mogły się rozwinąć, a ponieważ niepodobnym mu dziś było poświęcić życia dla wielkich spraw ojczyzny, skłonił przeto umysł do wynależenia sobie pięknej i miłej istoty, z którąby mógł spokojne prowadzić życie.

Zachodził więc często do zamku Isotty i teraz właśnie wchodzący z pochodnią wręku lokaj do gabinetu w którym pani siedzi zamysłona, zwiastował kawalera Morone.

Dreszczem przejęta pani: „niech wejdzie,“ odrzekła. Niepokój wewnętrzny odbił się na jej czoło. Był to właśnie człowiek, którego ona widziała w snach swojej przyszłości; człowiek zdolny powrócić ją towarzyskiej zacności, a jego częste odwiedziny w zamku, uprzejmość z jaką na nią spoglądał, zbudziły w niej słodkie mniemanie, że go ona natchnęła miłością. Ztąd też od czasu poznania się z nim, przyswoiła sobie przyzwyczajenie obyczaje, oddalając od siebie występki lub też jego pozory, okazując się dobrą o tyle przynajmniej, o ile to okazać może ktoś co dobrym nie jest.

Jeszcze nie zdążyła ochłonać ze wzruszenia, kiedy kawaler wszedł, a oddając lokajowi kij i szeroki kapelusz, stanął naprzeciwko niej, witając ją ukłonem i pocałowaniem w rękę.

Pierwsze ich wyrazy były pospolite i zimne, jak to zwykle między kobietą której serce jest przepelnioném a mężczyzną któremu coś brak. Lecz on nareszcie zdobywając się na stanowczość: „Gdzie jest,“ zapytał, „panna Estella?“

— Ta sierotka jest przy swojej robocie.

— Czy tak? czy ona istotnie jest sierotą? Taka piękna, taka dobra, warta byłaby istotnie lepszej doli. Czemu też pani nigdy dotąd nieopowiedziałaś mi jej historii?

— Historia jej jest krótka i prosta. Ojcem jej był Polidor Boldone z Bellano. Podczas tych długich upłynionych wojen, uzbroidł on oddział ochotników w górach przeciw najazdowi Francuzów i Hiszpanów i bywał na wozie i pod wozem. Nie odbyła się żadna bitwa za sprawę ojczyzny, w którejby on nieuczestniczył; kierował artyllerią przeciwko wojsku margrabiego del Vasto pod Como kiedy je chciano rabować; widząc jego okropne zniszczenie pobieżał bronić Torno, ale kiedy i to zostało wziętém, uradował się przynajmniej widokiem syna margrabi upadającego pod jego ciosami. Kiedy Medeghino stanął po tej stronie, on spodziewając się widzieć w nim współnika obrony kraju, przyłączył się do niego; ale kiedy ten wziął się dorabunku i dzierstw, odstąpił zaraz odeń do tego stopnia, że gdy Medeghino zażądał ręki jego siostry, odpowiedział mu, iż nie życzy sobie żadnych związków ani pokrewieństwa z łotrami. To wyszło mu na złe, bo Medeghino wystąpił przeciwko niemu, zniszczył mu majątek, wpadł do domu, rozegnał rodzinę; jedni zginęli, drudzy się rozpierzchli. Ta biedna dziewczyna tułała się tu to owdzie aż nareszcie dostała się do mnie. Mówią, że ojciec jej umarł, ale nie wierzą temu jego nieprzyjaciele, a mianowicie najzacieśny wróg jego margrabia del Vasto, który wyrobił sobie u cesarza dekret przeznaczający zapłatę za dostawienie go żywym czy zmarłym

i uznający za winnego zbrodni stanu każdego coby go ukrywał.

To co ona mówiła, było prawdą. Niezaprzeczenie bowiem wielu przestępcy lubią zbliżyć do siebie jakąś niewinną istotę i otaczać ją protekcją, czy to dla oszukania samych siebie tym pozorem cnoty, czy też dla tego aby mieć choćby jedną duszę któraby im błogosławiła wśród tylu rzucanych im przekleństw.

Zamyślił się przy tém opowiadaniu kawaler, a w słowach jego widać było wahanie się, które Isotta wzięła za niepokój zakochanego. Żeby go więc osmielić, powiada: „Zdaje mi się, kawalerze, że od pewnego czasu taicie przedemną jakiś sekret. Czemu mi się nie zwierzyacie? Czy ja nie jestem kobietą zdolną pojmować uczucia równie jak wy?”

Miłość, nadzieja, tak ją olśniły, że czekała tylko jak on upadnie jej do nóg z wyznaniem miłości. Ale on przeciwnie: „Tak,“ powiada, wyjawię pani jedną myśl, która oddawna leży mi na sercu. Kocham.“

— A kogóż? Jakżeż szczęśliwa ta, którą pan wybrałeś!“

— Dziewica, którą pani się opiekujesz, jeżeli więc pani i ona zezwolicie, to ją chciałbym nazwać moją,

Gdyby piorun trzasł koło uszu Isotty, nie byłby jej tak przeraził, jak ta wiadomość. Miłość, duma, gniew, wszystko razem na nią napadło, byłaby wybuchnęła, ale powstrzymała ją spokojne oblicze Gwalberta. Wstała, w milczeniu przeszła kilka razy po sali, potem zatrzymała się przed kawalerem, który nie spuszczał z niej wzroku i rzecze: „Kawalerze, sądziłam że rycerz taki jak wy potrafi wyżej umieścić uczucie swoje. Nędznica, córka wygnańca, bez imienia i schronienia...“

— Pani, nie chodzi mi ani o imię, ani o dom, ale o cnotę.“

Padły te słowa w samą głębinę serca Isotty, która wchodząc sama w siebie, wiedziała, że ani jednego ani drugiego nie posiada, zawołała więc z tłumioną złością: „O cnotę, o cnotę. A więc sam się pan przekonaj o tém.“

I zaprowadziła go na taras wychodzący na jezioro, z téj właśnie strony po której my płyniemy. Księżyc świecił jasno jak dziś ponad wodami, odsłaniając każdą łódź która się po nich przesuwawała. Isotta wskazała Gwalbertowi jedną z nich, na której widać było coś bielejącego a różnego od rybaka lub wioslarza. Za zbliżeniem się łodzi, rozpoznać w niej można było kobietę, która gdy łódź przybiła do brzegu, wyskoczyła z niej i zmierzła ku zamkowi w towarzystwie starego sługi. Kawaler poznał w téj kobiecie Estelle.

— Owóż, rzekła do niego Isotta, ona powraca ze schadzki z kochankiem, taka to jest jej cnota, takie nadzieje wasze.

I na twarzy jej zabłysnął tryumf zemsty, a gorycz zaćmiła oblicze Gwalberta, To też kiedy Estella weszła, piękna jak uśmiechający

się anioł i zbliżyła się aby ucałować swą opiekunkę, ta, nazwyczajona do udawania, oddała jęj pocałunek żywiéj niż zwykle, mówiąc: „witaj mi, kochana.“ Ale oko dziewicy zwróciwszy się na kawalera, dostrzegło w nim zasmucenie różné od zwykłego usposobienia. Bo jak już wam napomknąłem, on okazał już był dziewicy swe przywiązanie oznakami niepojętemi dla nikogo więcéj, tylko dla tych co są ich przedmiotem; ona zaś nie mogła być obojętną na jego piękne i niezłamane cnoty. Widząc więc w nim jakiś przymus, nie umiała z niego zdać sobie sprawy; a kiedy Gwalbert, wychodząc, rzucił na nią znaczące spojrzenie, ona go nie zrozumiała, zdawało się ono jęj niewyraźnym wyrzutem. Tymczasem myśl zemsty przyspieszała bicie serca Isotty, która doznawszy zawodu w miłości, nie chciała aby drudzy wniéj znaleźli szczęście.

Następnego wieczora ciemno było na świecie. Estella znowu zbliżyła się do brzegu i wszedłszy ze służącym do łodzi, pomagała sama robić wiosłem i okrążając wybrzeże, które teraz tuż przed sobą widzimy, zmierzała tam ku Limonta. Księżyc co chwila pokrywał się lekkimi chmurkami, a światło jego, to pełné to przyćmione, na grzbietach gór i na powierzchni jeziora rysowało najdziwniejsze postacie. Spłynąwszy jaśniej ponad mrok wybrzeża, uwydatniało śliczne kształty Estelli prostą okryte szatą, a przy jego blasku widać było piękne sploty jęj czarnych włosów przy poruszeniu wiosłem rozwiewające się w nocném powietrzu. Tak posuwała się, aż przybyła tam, gdzie widzicie ten odstęp pomiędzy skałą i krzakami i tam ukrywszy czółno, wzięła z sobą koszyczek i dalejże na górę.

Ale śledziło ją czyjś oko. Kawaler pragnąc się upewnić do jakiego stopnia zawiódł się mniemając że dusza jęj jest czystą i piękną, ustawił łódkę zdaleka; ukryty poza kratami, widział Estellę przybijającą do brzegu i natychmiast zszedł opodal od drogi, po której szła. Długo prowadził za nią oczyma, aż stracił ją z przed siebie. Błądził jakiś czas bez celu, potém usłyszał lekkie szemranie zbliżył się i spostrzegł ukryty w gąszczu zarośli szalas; podszedł, przyłożył oko do szczelinki i przy drżącym świetku latarni — zobaczył, — cóż takiego? Mężczyznę wspaniałej postawy ale złamanego cierpieniem, które przyspieszyło mu starość; z długą brodą, w poszarpanej odzieży siedział on na stołku; na jego kolanach zwięszoną była anielska postać, to Estella, która jedną ręką objęła mu szyję i przyciskała go do siebie, tak że siwe i rzadkie włosy starca mieszały się z jęj czarnymi warkoczami, drugą ręką podawała mu posiłek wydobywany z koszyczka. Ciche słowa któremi przemawiała doń, miały w sobie coś słodkiego i smętnego zarazem, jakby wspomnienie dalekiej ojczyzny.

Gwalbert przypatrywał się czas jakiś temu zjawisku, potém stanął w otwartych drzwiach.

Estella spostrzegłszy go i niepoznawszy osłoniętego płaszczem, zerwała się, krzyknęła i rzuciła się przybyłemu do nóg, wołając: „Litości, panie! nie gub mojego ojca.“

Upewniony wtedy o tém, czego się już domyślał Gwalbert, że starzec ten jest ojcem dziewicy, któremu ona przynosiła z sobą posiłek i pociechę, wzruszony do głębi duszy, podniósł ją i rzekł: „Bądź dobrej myśli, Estello! to ja, dziewico zacna; wielka jest twoja cnota, otrzymasz za nią nagrodę.“

Potém zwracając się do starca: „Polidorze, powiada, „tak ty jako i ja walczyliśmy za cześć ojczyzny naszej, pomimo to ojczyzna nasza zgubiona. Ale ciebie prześladowanie przemocy doprowadziło do téj nędzy, ja zaś oparłem się ze czcią wrogom Italii, byłem im zarówno groźny jak szanowany przez naszych. Kiedym widział, że zguba ojczyzny jest nieuchronną, udałem się tu aby żyć w rozpaczliwym pokoju. Ale imię moje jeszcze coś waży w Medjolanie, gdyby coś mogło skłonić mnie do powrotu w te jego mury, dziś już tak niestety! zmienione, to chyba chęć wyrobienia ci amnestji. Ale żądam za to nagrody, a tą jest ręka twéj córki, jeżeli ona zgodzi się na to.“

Czy ona się zgodziła, łatwo zgadniecicie, dziś kiedy do godnych podziwu zalet Gwalberta łączyło się jeszcze dobrodziejstwo; to téż kiedy ojciec zapytał ją o zdanie, ona zamiast odpowiedzi rzuciła mu się na szyję, z radosnym okrzykiem: „Ojce, jakże będziemy szczęśliwi!“

Oddalili się, ona na swojej łódce, on strumą ścieżką, na której czekał go masztalerz. Naza jutrz udał się do Isotty, prosząc ją o pozwolenie aby mógł zaślubić Estellę. W jego pewném i prawém wystąpieniu było tyle powagi, że pani zamku nie potrafiła się jęj oprzeć, jakkolwiek wiele na tém cierpiała; nie śmiała téż odmówić. Przygotowawszy więc wszystko co było potrzebném do ślubu, kawaler Morone wyjechał do Medjolanu.

Nie pytajcie mnie o to, co się działo w sercu Isotty tego dnia i następnych. On był pierwszym, od którego nie żądała pastwy dla dumy swéj, ale rzetelnej miłości; używała wszelkich sposobów aby go do siebie przywiązać, a on jęj jednak umknął i nietylko że umknął, ale nad nią przeniósł istotę biedną i nieznaną, która prócz piękności nic innego nie posiadała. „Nic prócz piękności! oh nie — ona posiada coś innego, czego mi brak — cnotę. Ja nie mogłam ofiarować mu ręki niepokalanéj, serca niewinnego, jak ta biedna dziewczyna. Ale cnota... jakąż jest ta cnota Estelli, która mnie zawdzięcza wszystko, wszystko; ja przytuliłam ją opuszczoną, ja zachowuję tajemnicę jęj ojca, kiedy mogłabym, kiedy powinienym jedném słowem go zgubić, a ona niewdzięczna wydziera mi kochanka? To niegodziwie! sroga zemsta moja ugodzi cię tak, jak na to zasługujesz. Chociaż, niegodziwość jęj... zemsta moja.... Nie... czyż ona co wie

o mojej miłości? Czemże mnie tak dalece obrażała?... Oh, gdybym to ja mogła napowrót stać się ubogą dziewczycą, jak ona, ale bez myśli, bez tych myśli, które dniem i nocą wrą mi tu, w głębi i nie dają pokoju nigdy, nigdy. O śliczna niewinności! i któż mi cię powrócić zdoła? Cóż może zrównać rozkoszom niewinnego wieku, miłości najpierwszej? A ja i tych nawet nie doznałam bez winy z mej strony. Ale za to użyłam i używać jeszcze mogę rozkoszy zemsty. Ah—miło to jest rachować chwile które pozostają do życia wrogowi; wiedzieć o jego konaniu, kiedy on sam nie wie, że kona; potem usłyszeć jeden jęk — i po wszystkiem. Niema harmonii, któraby temu dorównała... a ja słyszałam ją i któż mi wzbroni usłyszeć ją jeszcze? widzieć tryumf tej dumnej dziewczki zmieniony w płacz? O tak! ona jest u mnie gościem, przytuliłam ją, ma zupełną we mnie ufność, mamże więc ją zdradzić? Ale czyż nie ona skrzywdziła mnie pierwsza? ona winna mi oddać dobro, które uczyniłam dla niej. Z drugiej strony, czy prawo samo nie głośniej jeszcze mówi jak ta przelotna namiętność; czy prawo nie nakazuje wydać tego herszta buntowników Polidora Bottone? nie mogę ja uczynić tego? czy nie zdradzam owszém cesarza, postępując inaczej?

Takie i tym podobne myśli, pod różną formą, przechodziły po głowie Isotty, dręcząc jój umysł w ciągu dni następnych; przez co raz dobrą drugi raz cierpką okazywała się dla Estelli. Ta zaś cała zajęta przygotowaniem wyprawy i urządzaniem wszystkiego co było potrzebnem do jój nowego stanu, porzucała od czasu do czasu robotę, by rzucić się na szyję swjéj dobrodziejki, wołając: „O szlachetna moja opiekunko, ileż ja ci zawdzięczam! Całe moje szczęście twojem jest dziełem.“

Isotta uśmiechała się na to tym uśmiechem, który niedosyć pokrywał wewnętrzną troskę, niekiedy nawet wespół z nią zapłakała; ale w głębi serca odzywał się głos szatański wołający o zemstę.

Czas upływał, nadszedł nareszcie dzień przyobiecane go powrotu Gwalberta i chwila zamęzcia. Pod schyłek dnia przybędzie narzeczony; dziewczica w oczekiwaniu przybrała się w lepszą odzież, weszła do komnaty Isotty i biegnąc do niej w niewinném uniesieniu: „O jakżem szczęśliwa, moja dobra pani! niech cię nieba błogosławia;“ zawołała.

Ale cóż to? Zamiast oddać jój uścisk, Isotta cofnęła się; uraziły ją te oznaki radości, zrazu odepchnęła Estellę jakoby ze zgrozą, potem znów gwałtownie pochwyciła ją za rękę; wzrok niespokojny, konwulsyjne ust drganie, pierś rozkołysana, twarz nagle z bladeści przechodząca w czerwonosć, wydawały wzburzenie jój serca, kiedy na obliczu Estelli malowało się bolesne zdziwienie, obawa dziecka które nie wie czego się lęka. „O mój Boże! co ci jest, kochana opiekunko moja?“

— Precz mi z tém! zawoła z wściekłością pani wybuchając długo tłumionym gniewem, dosyć już tego udawania. Dowiedz się dzisiaj, że masz we mnie najzaciętszego wroga i że ja mam środki przekonania cię o tém. Dziś, dziś zaraz, albo daj do wypicia ten napój (i wyciągnęła z zanadrza mały flakonik) swojemu narzeczonemu wprzód nim uderzy północ; albo zbudziwszy się, wzniesź oczy na jedną z wieżyc zamkowych, a zobaczysz wiszącego na niej twojego buntownika ojca.

Dziewica wydała okrzyk taki, jakby ktoś pod kwiatami niespodzianie zobaczył węża: chwiejąc się oparła ręce o poręcz krzesła. W téj chwili wszedł kawaler i tam gdzie spodziewał się zastać radość, usłyszał jęk. Stał pomiędzy obiema kobietami i ujawnszy z miłością rękę Estelli, która nie śmiała oczu podnieść na niego, utkwiał wzrok w twarzy Isotty, aby rozpoznać co ona złego wymyśliła. Ona zwróciła się jeszcze do Estelli i z zaciśniętymi pięściami, zgrzytając zębami, rzekła: „Wybieraj, jedno albo drugie, albo, jak piśniesz słówko, oboje razem;“ i wyszła.

W téj chwili przybyliśmy do Varenny, gdzie zwykle zatrzymywano się dla posiłku. Wkrótce zasiedliśmy znowu na miejscach swych w łodzi, kiedy uderzyła godzina trzecia po północy. Pocziwy proboszcz dorachował uderzenia i rzekł: „Godziny nocne są to moje przyjaciółki. Kiedy naokoło głuche zalegnie milczenie, głos ich zdaje mi się być głosem żywczyliwego, który pyta mnie— jak się miewasz.“

— Ale, dodałem ja aby czempredzej wrócić do opowiadania, nie tak spokojnie rachowali je ci o których nam opowiadacie.

— Dobrze się domyślicie, odrzekł. Wiem ci ja doskonale, że dziś popłacają okropności, że czytelnicy przepadają za nimi, że je pisarze wyzyskują. Doprawdy, kiedy patrzę jak ludzie, a zwłaszcza wy młodzież, niezadowoleni ze społeczeństwa, macie upodobanie w wyobrażaniu go daleko gorszém niż ono, dzięki Bogu, jest; lituję się nad wami, tak jak nad niemowlęciem, które wewnętrznym dręczone bólem, gryzie karmiącą je pierś. Gdyby opowiadanie moje było powiastką, jakaż to szczęśliwa okazja do scenicznego efektu, pokazać na przykład, że Isotta pozwala im się zaślubić i odejść, potem kiedy przybywają do swjéj siedziby, przy pierwszym zaraz pocałunku danym a jeszcze nie odebrany, jakaś niewidoma ręka zabija na śmierć kochanka. Albo téż na uczcie weselnjéj ona mięsza truciznę obojgu, którzy umierają w okropnych konwulsjach, wymawiając nowe a pełne uczucia wyrazy. Ale opowiadanie moje jest prawdą, tak przynajmniej słyszałem je od starca, któremu opowiadał ojciec, a temu znowu ojciec, koleją aż do tych co żyli spółcześnie z temi wypadkami.

— W dalszym więc ciągu powiem wam, że gdy oboje narzeczeni pozostali sami, kawaler usiłował podnieść na duchu Estellę, wypytać

ją; ale nie z niej wydobyć nie mógł prócz jęków i wołania: „O mój ojczu, o mój ojczu! — idź — ratuj go — ah! jestem na zawsze nie-szczęśliwą!“

Ślub odłożono; suknie świąteczne ustąpiły miejsca powszednim; słychać było tylko jej płacz i westchnienia. Niebo zdawało się zgadzać ze smutkiem Estelli, bo powstała silna nawałnica na jeziorze, wiatry ścigały się z wściekłością, deszcz lał potokiem, grzmoty i błyski mijały się nieustannie; — o, biadaż starcowi pośrodku wód. Tysiączne projekta przechodziły przez głowę dziewczicy, wszystkie pierchały na przeciw obrazu ojca i kochanka, mających paść ofiarą tej okrutnicy. Występki jej, o których rasłyszała cośkolwiek, ale nigdy temu nie wierzyła, bo widziała ją tak dobrą względem siebie, teraz dopiero przychodziły jej na myśl z całym okropnym prawdopodobieństwem i przekonywały, że wszystkiego od niej obawiać się może. Pierwszą jej myślą było biedz do ojca, wydobyć go z tamtąd i uciekać z nim. Ale jezioro wrzało tak groźnie, że mu niepodobna było zawierzyć: ścieżka, która mogła łądem doprowadzić do jego schronienia, długa i z natury urwista, teraz przy wezbraniu potoków i poruszeniu ziemi jeszcze gorszą się stała; a w ciemnościach nocy już zapadającej mogłaż się odważyć iść samotnie dziewczica tam, gdzie zaledwie najśmielszy myśliwiec mógłby się zapędzić? Tymczasem godziny szły jedna za drugą, zbliżała się północ, ta straszna północ, której uderzenie stanowić miało o jej życiu lub śmierci. Przy niej Gwalbert starał się wszelkimi sposobami odkryć tajemnicę, ale nadaremno. W tém błyskawica dłuższa niż inne, ukazała im na jeziorze gondolę, która popychana mnóstwem wioseł, zmierzała na środek.

— Gondola, zawołał Gwalbert, któżby to mógł na taki czas puszczać się na jezioro! to chyba ona.

A Estella zaledwie rzuciwszy okiem, wydała rozpaczliwy okrzyk: „Ratuj mojego ojca!“

— Ale któż mu grozi?

— Isotta. Przebóg! za wiele powiedziałam, może mi go już zabiła.

Dopiero prawda błysnęła w oczach kawalera: „Estello,“ rzekł, „bądź zdrowa; idę ocalić ojca twego lub umrzeć.“

I chciał się z nią rozłączyć; ale pomimo wszelkich usiłowań nie mógł jej skłonić do zostania w domu. Estella bądź co bądź wybrała się z nim. Zaopatrzywszy się więc w broń, obok pugańdu z którym się dawni Włosi nigdy nie rozstawali, wsiadł na muła i posadzwszy przed sobą Estellę, udał się ścieżką w góry. Podróży tej wam nie opiszę; ktokolwiek z was zna góry, łatwo może sobie wyobrazić ją w takiej porze, w takim miejscu, przy takiej pogodzie. Tylko to zwierzę tak pojętne i zaprawione, mogło podążać po tak wąskiej pochyłości. Śród ognia błyskawic który ogarniał wszystko; tylko miłość mogła na-

tchnąć taką odwagą tych dwoje ludzi, miłość dla której niebezpieczeństw nie ma. Tym sposobem zbliżywszy się do gaju, tu zsiadli oboje i zaczęli pieszo spuszczać się ku chatce, w której ojciec śpi — może snem wiekuistym. Im bliżej, tém serca biją im mocniej. Czy przybędą na czas? Otóż nareszcie i szalas: Estella zbliża się drżąca, wbiega wewnątrz — pusto! Zabłyśto, ciemności rozstały się, na środku jeziora ukazała się gondola miotana wichrem.

Była to w samej rzeczy gondola Isotty. Kochani moi słuchacze; żaden z was nie zna dzikiego wesela zemsty; żaden z was nie wie jak burzliwe są chwile pomiędzy zamiarem zbrodni a jej wykonaniem, to też dziwi to was zapewne, jak ona mogła odważyć się na wodę podczas takiej zawieruchy. Ale w głowie jej wrzała zawierucha taka, że wszelkie niebezpieczeństwo, śmierć sama nawet zdała się jej niczem, byle tylko raz zwolnić się od tej wewnętrznej burzy, przyspieszyć choćby o godzinę tę wściekłą rozkosz zemsty. Wybrawszy więc najdoświadczeńszych wioślarzy, tych co tyle razy, walcząc z wichrami, przebywali jezioro podczas wycieczek Medeghina, udała się do chaty starca, aby go porwać, jako zakładnika straszliwej boleści, którą gotowała drugim.

Prawda, że jak odbiła od ładu, a łódź, chociaż silna i porządna, co chwila groziła niebezpieczeństwem i gdy najśmielsi wioślarze bledli pod kroplistym potem spływającym z ich czoła; pani zamku wchodziła w siebie, wolniała, myśląc: „A jeżeli też fala mnie pochłonie. A więc? Skończy się to piekielne wzburzenie, skończy się wojna między ludźmi i mną, skończy się wszystko. Ale czy istotnie skończy się wszystko?“

I tu nasuwały jej się myśli, od pewnego czasu zgłuszone, zamierzchłe, ale nigdy niespożyte, myśli o czemś poza grobowem, o jakiejś potędze więcej niż śmiertelnej. Przebiegało po niej zimno i gorąco, zrywała się, zamykała oczy; kiedy żaden już przedmiot rozzerwać jej nie mógł, tém straszniejsze stawały jej przed oczyma obrazy nieznannej przyszłości; wtedy zwracała oczy na fale, na błyskawice, ale strach mimo to nie ustawał.

Wtém przybili do wskazanego brzegu, dwaj zbrojni wyskoczywszy, siłą wyciągnęli starca, który wszedłszy do gondoli, rzekł: „Ktokolwiek jesteś, pani, co dopuszczasz się względem mnie takiego gwałtu, pamiętaj, że i ty się zestarzejesz, że umierać musisz.“

— Milcz, stary głupcze! odparła gniewnie Isotta; poczem gdy starzec umilkł, łódź zabrała się do powrotu; płynącą wtedy zobaczyli Gwalbert z Estellą.

Nareszcie zawierucha zaczęła potrochu cichnąć na jeziorze, ale w miarę tego wzmagala się w duszy Isotty. Głęboko w niej zadźwięczały słowa starca: „zestarzejesz się! — umrzesz!“ i jakkolwiek starała się dźwięk ich

odepchnąć od uszu, on rozlegał się wciąż, coraz głębiej, coraz uporniej.

I otóż z przeciwnego brzegu dochodzi głos niepewny; był to dzwonek zakonników, który wtój ogólnej ciszy uderzał zwolna, ogłaszając uśpionemu światu, że jedna dusza chrześcijańska zabiera się do opuszczenia świata. Starzec posłyszawszy go, zdjął kapelusz i rozpoczął modlitwę której nauczył Chrystus, potem psalm wzywający miłosierdzia, potem prośby któremi kościół zaleca wiernym żegnać brata uprzedzającego ich w drogę do życia nieskończonego. Wioślarze odpowiadali chórem, a ta jednostajna modlitwa, jedynym głosem ludzkim wznoszona na przestrzeni wód, spadała rzewnym smutkiem w serce sprawiedliwego; ależ inaczej było z sercem zbrodniarza?... Isotty... Ona chciała zrazu nakazać milczenie, ale zabrakło jej głosu. Ta myśl śmierci, ta potworność występku, rosła, porwała duszę. Isotta nie mogła się oprzeć; ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła potokiem łez. To ją ocaliło.

Kiedy zbliżyli się do brzegu, ona pierwsza wyskoczyła na ląd i nie myśląc o starcu który pozostał w łodzi, przywlokła się do zamku, weszła w milczeniu, przebyła kilka komnat większych i mniejszych, — oh! jakież w nich pozostały pamiątki! — i wszedłszy do gabinetu, rzuciła się na kolana przed obraz Najświętszej Panny, która piastowała niebiańskie Dzieciątko i uśmiechała się do tych co na nią spoglądali, jakby chciała dać im zapewnienie, że prośby ich będą wysłuchane. Ukłękła, płakała, modliła się; prosiła prośbami oddawna zaniechanemi, ale które teraz wracały do jej pamięci, przywołując dawne czasy, inny spokój.

Gwalbert i Estella, którzy z rozpaczą w sercu, jękiem napełniając komnaty, przyszli ją zaklinać czy przeklinać, jakżeż się zdumieli zastawszy ją tam, u stop Madonny, płaczącą, modlącą się! Gniew uśmierzył się zewsząd; témbardziej iż ona pozostawszy, rzuciła się na szyję Estelli, wołając: „Przebacz, przebacz! on żyje, jest tu!“ W tej chwili uderzyła północ.

Na tém zamilkł poczciwy kapłan. Wszyscy naokoło milczeli milczeniem religijnem, ja tak-

że zamyśliłem się. Tak zesłała godzina czasu, po upływie której, jak gdyby idąc za myślą nieprzerwaną, jakaś dziewczynka z pomiędzy podróżnych zapytała: „A co się stało z tą panią?“

— Z panią?... rzecze pleban, jakby przebudzony z głębokiego zamyślenia. Widzicie tę okolicę wydatniejącą na przyłasku, a pośród niej biały wysoki budynek? Jest to Dervio, a na miejscu gdzie stoi ten dom, był klasztor Humilianek. Tam to schroniła się Isotta, ażeby resztę życia przepędzić w zaparciu się i pokucie, którą Bóg ceni zarówno jak niewinność.

— Czemuż, odezwałem się, nie pozostała między ludźmi, ażeby dobrymi uczynkami naprawić zło, które wyrządziła?

— Alboż ja powiadam, że ona nie pełniła dobrych uczynków? Niezliczone są drogi miłosierdzia, równie jak Opatrzności. Co się tyczy narzeczonych, ślub ich wkrótce pobłogosławił gwardjan z sąsiedniego klasztoru, wesele odbyło się rażno, chociaż nie huczno, w tym samym zamku. Radości ich wam nie opiszę, niełatwo jest opisywać szczęście; tak nie wielu doznało go ludzi. Przyszła też w tych dniach wiadomość, że Polidor Boldoni, który przez ten czas ukrytym był w zamku, skutkiem starań i w nagrodę zasług kawalera Morone, oraz po danem zkądinąd zadosyć uczynieniu margrabiemu del Vasto, osobistemu jego nieprzyjacielowi, uzyskał zupełne przebaczenie i bezpieczeństwo. Cesarz bowiem Karol V, utwierdziwszy się w posiadaniu Medjolanu, udzielał przebaczenie każdemu z dawnych rebellantów, przywracał porządek i pokój w Lombardji.

— Porządek.... pokój?... zawołałem, próbując zwrócić opowiadającego do innej rozmowy, do nowych dyskusji. Ale na moją niewczesną gawędę nic nie odpowiedział kapłan, lecz otworzywszy brewiarz zaczął przy blasku jutrzeńki swe modlitwy do Boga, od którego pochodzą troski i pociechy, nagrody i kary. Ja wróciłem do fantastycznego milczenia, pojąc się tém niewypowiedzianem uczuciem, jakie rozlewają ostatnie promienie bledniejącego księżycza.

Tłumaczył z włoskiego

Kaz. Kaszewski.

PRZEGLĄD MUZYKALJI.

Rozpoczynamy w Kółku Domowém szereg sprawozdań muzykalnych, przekonani o rzeczywistej ich potrzebie i użyteczności. Nie pominiemy tu żadnego dzieła muzyki, tak rzeczy fortepianowych i do śpiewu, jak również na inne instrumenta. Rozrost muzycznego wydawnictwa za granicą, zmusza nas do tém większej bacznosci i wybredności że tak powiem, w wyszukiwaniu stosownych muzycznych utworów. Pod tym względem jak i pod wielu innymi, zagranica jest w położeniu do zazdrości, mogąc napawać się dobrą muzyką, wydania-

często bajeczniejszymi arcy-tworów mistrzów; podobne rzeczy więcej przykładają się do rozpozszechnienia dobrego smaku i pojęć istotnych tej boskiej sztuki, aniżeli niegdyś owe falangi turystów wirtuozów, którzy więcej sztuce krzywdy aniżeli korzyści przynieśli, napełniając tylko swe kieszenie.

1. *Clavierstücke* z koncertowego programu p. *Wilhelminy Szarwady* z domu Klos. 2gi zeszyt zlp. 6 składający się z 3ch ustępów amianowicie:

1) *Gaillarde p. Chambonnières* ur. 1620 † 1670.

2) *La de Croissy courante par François Couperin* ur. 1668 † 1733.

3) *Gavotte p. J. P. Rameau* ur. 1683 † 1764. Przytaczając te kilka dzieł z dawnych autorów, musimy cokolwiek trącić o ich historją. *Chambonnières* Andrzej (*Champion de*) był synem Jakóba Champion a wnukiem Tomáša, obydwa byli za czasów Ludwika XIII sławnymi organistami. Andrzej Champion przybrał swe nazwisko, pod którym jest najwięcej znany, od ziemi *Chambonnières* w *Brie*. Grał wybornie na klawikordzie i uchodził w swym czasie za najbieglejszego w tój sztuce. Ludwik XIV mianował go pierwszym nadwornym muzykiem. Współczesny *Gallois* zapewnia iż sposób traktowania instrumentu przez niego był tak piękny, ton tak miękki, iż nikt inny niemógł mu sprostać. Ze wszystkich uczni jego *Hardelle* jedynym był w tonie naśladowcą. Inni byli *Buret*, *Gautier*, *Couperin*, *d'Anglebert* i *Begue*. *Chambonnières*'a uważać można za głowę szkoły na klawikordzie, która kwitła aż do *Rameau*. Wydał on także kilka rzeczy na klawikord w *Paryżu*.

2. *Couperin* Franciszek miał przydomek *wielki* z przyczyny wyższości swój sztuki nad innymi organistami *Francji*. Urodził się w *Paryżu* r. 1668, mając rok życia stracił ojca; organista nazwiskiem *Folia* udzielał mu pierwsze początki. W roku 1696 dostał miejsce organisty w *St. Gervais* a w r. 1701 otrzymał posadę nadwornego organisty i klawikordzisty królewskiego. Umarł w r. 1733 mając lat 65. Ze wszystkich organistów *francuzkich* *Fr. Couperin* był jedynym który posiadał wysokie przymioty nie tylko w traktowaniu swego instrumentu, ale i jako kompozytor. On jeden co potrafił wznieść się na wyższe stanowisko, pomimo zepsutego smaku i grubiej niewiadomości która go zewsząd otaczała. Wydał w *Paryżu* w latach od 1713—1720 cztery księgi różnych rzeczy na klawikord. W r. 1717 wydał *Les goûts réunis, ou nouveaux concerts augmentés de l'apothéose de Corelli*. Później wydał *L'Apothéose de l'incomparable Lulli* i *Tria* różne.

3. *Rameau* był jednym z najznakomitszych muzyków swój epoki. Urodził się w *Dijon* 25 *Października* 1683 r., w pierwszych chwilach swój młodości okazywał już niezwykle zdolności, potrafił np. w 7 roku życia czytać i wykonywać od razu każdy rodzaj muzyki na klawikordzie. Rodzice jednakże przeznaczając go do innego zawodu, przeszkadzali mu w studjach muzycznych, chcąc aby ukończył kolegium jezuitów. *Rameau* urodził się muzykiem ale niczém więcej. Gwałtowność jego charakteru niemogła się z rygiorem klasztornym pogodzić, a przeważne zajęcie się muzyką nie pozwalało mu dostatecznie korzystać z wykładu nauk. Książki, kajeta swoje i towarzyszy zawsze zabierał różnemi szkicami, swój bujnej fantazji. Rzeczy tak daleko zaszły, że obecność podobnego ucznia w kolegium nie mogła być

cierpianą i rodzice musieli go odebrać. Od wyjścia z kolegium nieczytał innych książek, jak tylko te co do teorii muzyki należały, resztę czasu zajmowało mu wyrabianie mechanizmu na klawikordzie, organach i skrzypcach. Następnie wysłano go do *Włoch*, ale niemógł przyzwyczać swego ucha i smaku napojonego stylem *francuzkim*, do stylu *oper* *Scarlattego*, *Lottiego* i *Cellery*. Niedługo tam bawił i powrócił wkrótce do *Dijon* zkąd otrzymał miejsce organisty w *Clermont*. Ciska miasta położonego pomiędzy górami, nawet utrudnione komunikacje sprzyjały rozmyślaniom *Rameau*. Tu właśnie nowy jego system harmonji; ujrzał światło dzienne i zjednał mu rozgłos po kraju. Niezadowolniało go to jednakże, czuł się powołanym do przejścia kariery nie tylko jako teoretyk ale i kompozytor dramatyczny. Martwił się także że inni daleko mieniejsi muzycy dostąpili zaszczytu sceny bez trudów, a on w 50 roku życia nie miał sposobności owdądzać deskami teatralnemi. Wziął się więc do pracy i napisał muzykę do *Samsona*, ale na próbach nie bardzo się jakoś podobała, napisał inną, ale wszystkie nieodpowiadały oczekiwaniom; szczególnie stronnicy *Lullego* napadali z gwałtownością na jego muzykę, tak że *Rameau* był kompletnie zniechęcony i zamierzył niepisać wcale *oper*. Późniejszy czas zadał kłam jego zamiarowi, bo i publiczności się przyzwyczaiła do jego rodzaju muzyki, a on napisał ze 36 *oper* w różnych epokach, z których najznakomitszą jest *Kastor* i *Pollux*. *Rameau* słynnym był jako organista, wślawił się także jako kompozytor dramatyczny, ale najwięcej zasługi ma jako twórca nowego systemu harmonji. W swoim czasie i w miejscu właściwszym, może coś o tém powiemy, a teraz zapoznajmy się z samemi utworami przeszłości dopiero co wspomnianych autorów. N^o 1. *Gaillarde* *Chambonnières*'a w tonie *E* takt $\frac{3}{2}$ w charakterze rozwlekłym więcej całych nót i pół jak raz wiązanych, pełno trylików, rodzaj muzyki zupełnie różny od dzisiejszój. W tego rodzaju rzeczach, piękny instrument i wykonania dobrego orok wszystkich dokona, tak że i ten ustęp może się podobać słuchaczom nie wtajemniczonym w historyczne utwory. Następujący N^o 2. *La de Croissy* *Franciszka Couperin* kurant, jest już więcej zrozumiały, zbliżony do pojęć tegoczesnych, choć data pochodzenia wiek *XVII*. Przeprowadzony cały w imitacjach prawie, harmonjowanie dobre, zupełny kontrast stanowi z poprzedzającym utworem. Potem następuje N^o 3. *Gavotte* *Rameau*. Odznacza się kombinacjami harmonicznemi niespotykanemi w poprzedzających utworach, więcej zdają się być wyszukane, choć naturalne prowadzenie głosów. *Gavotte* ten składa się z pierwszój myśli 24ro-taktowój a rozwinięcie jego dalsze zostawione 6ciu zmianom czyli warjacionom (*double*) na różne sposoby, które bardzo dobrze wyglądają.

Dodatek do Zeszytu I. Kółka Domowego.

OBJAŚNIENIE TABLICY RYSUNKÓW.

- N^{ro} 1. Prząd stanika z fraczkiem. N^{ro} 2. Boczek. N^{ro} 3. Połowa pleców.
„ 4. Rękaw. Litery odpowiednie oznaczają miejsca które mają się razem zeszywać.
„ 5. i 6. Haft na czapeczkę mężką.
„ 7 — i 8. Mankiet i kołnierzyk z dubeltowego płótna, zęby stebnowane do koła i podłożone koroneczką którą widać w odstępach.
„ 9. Róg od chustki do nosa.
„ 10 — 11 — 12 — 13 — *Kapelusiki różnego kształtu*. Prenumeratorki nasze żądając podobnego sprawunku, mogą według tych wzorów wybór uczynić, a następnie pisząc do nas oznaczyć numer kapelusza którego zażądata. Cena każdego z nich od 8 do 10 rnbli stosownie do materiału.
„ 14. *Pudełko na rękawiczki*. Wycinają się z tektury dwa boki i wierzch oznaczone N^{rem} 15 i 16 — oraz dwa oznaczone N^{rem} 17. Wykroić trzeba potem téjże wielkości kawałki białej materji i wyszyć ją pelą podług deseni, pączki cieniowane, różowe łodygi orzechowe, a liście zielone. Deseń kręcony który przebiega wzdłuż, stanowi srebrny lub złoty galonek po nad którym kratka ścięciem przeciąganym złotym jedwabiem. Stosownie do wielkości boków pudełka przykrawa się wierzch i spód, ten ostatni nakłada się watą skropioną mocnymi pachnidłami i pokrywa białą marseliną równie jak wnętrze całego pudełka. Gdy wszystko gotowe pokrywa się tekturę przygotowaną materją, przytrzymując tę ścięciem przeciąganym przez wierzch złotym jedwabiem, jak na rysunku całości pudełka. Dwie klapki na wierzchu oznaczone N^{rem} 16 spina się na kryty guziczek przszyty do kawałka gumowej tasiemeczki, która po wierzchu ma szczoteczkę z białej wstążeczki. Pudełko takie łatwe w wykonaniu przy pomocy rysunku na tablicy, stanowić może ładny podarek.
„ 18. Szlak, alfabet i cyfry. N^{ro} 19. Prząd paletocika dla dwunastoletniej panienki.
„ 20. Boczek do przodu. N^{ro} 21 Boczek do pleców. N^{ro} 22. Plecy. N^{ro} 23. Rękaw.
„ 24. Kołnierzyk. Litery wskazują jak połączyć wszystkie części jedna z drugą. Numera są w miejscu gdzie się dają kryte fałdy. Poły u dołu zawinięte dla braku miejsca; krawiec z materji, według tego zawinięcia trzeba je przedłużyć.
„ 25. Figura całego paletotu. N^{ro} 26. Róg od chustki od nosa. N^{ro} 27. Kołnierzyk.
„ 28. i 29. Kołnierzyk i mankiet z haftem w motyle zwanym *genre cachemire*. Motyle te na płótnie wyszywają się bawełną w różnych mieszanych kolorach, to jest obwód jest odmienny a w pośrodku centka każda odmienna. Kołnierzyków takich dostać można gotowych wmagazynie pana Thonnes'a, ładniejsze są jednak z motylami haftowanemi biało. Resztę tablicy zajmują szlaczki i cyfry.

UBIORY.

Moda baskin frakowych zawładnęła tak potężnie, że widzieliśmy u pani Włodkowskiej suknię do gorsu, której stanik spinały z przodu guziki z konchy perłowej, z tyłu zaś zakończyły poły od krótkiego fraczka. Jakkolwiek wycięta suknia z fraczkiem wydaje się bardzo nieładnie, niemożna jednak nieprzyznać że do sukien i kaftaników pod szyję, niektóre z tych fraków i fraczków weale zgrabne były, osobliwie dla osób wysokich i szczupłych. Podobną nam się suknią z popeliny fijałkowej, której krótki fraczek zwany *a la musquetaire* miał u klap czarne wywinęte wyłogi. Nowością którą zauważyliśmy także, była kanzutka czarna *z poult de soie* naszywana ławą czarną z baskiną frackową u dołu pleców. Kładła się do czarnej spódniczki na pąsową jedwabną koszulkę. Oglądaliśmy w tymże magazynie bardzo ładne ubranie na głowę w cenie od 5—6 i 7—rubli. Wszystkie były mało podniesione po nad czołem, przypinały się zaś lub na samym wierzchu głowy, lub po nad kokiem z włosów stosownie do uczesania. Niektóre z nich tworzyły

tylko aksamitna wstążka, która się kładła na kształt wieńca na głowę, z przodu, z tyłu po nad kokiem i z boków, przytwierdzone do niej były bukietki lub pojedyncze kwiaty. Inne znów miały długie końce z aksamitki spadające na plecy od koronki ułożonej płasko na kształt talerzyka a zdobnej aksamitem lub kwiatkiem. Ze strojnějších był ubiorek z błękitnej na dwa palce szerokiej aksamitki, zdobny bladą różą różową, od którego długie końce spadające z boku, zniechcenia przytwierdzały się także różyczką do ramienia od sukni. Do pokrycia głowy strojnój w podobne ubiorki, są bardzo ładne zarzutki kaszmirowe w różnych kolorach z białą jedwabną podszewką zwane *normande* w cenie 10 rubli. Suknie czarne jedwabne ubrane odmiennym kolorem zowią się *a la Louis XIV*. Widzieliśmy u pani Włodkowskiej jedną przesliczną w tym rodzaju. Spodnica jej z czarnego *poult de soie* miała u dołu obłożenie na ćwierć łokcia szerokie z pięknego pasowego w czarne pasy atlasu, po nad którym szły zęby czarne *poult de soie* odwracane i podszyte czarnym atlasem. Każden ząb zakończyła u góry rozeta pasowa z czarném. Długa kamizoleczka z tego samego atlasu co obłożenie, spinała się pod szyją, pokrywał ją kaftanik wcięty do figury i ściśnięty szerokim pasowym pasem spiętym złotą klamrą. Druga suknia podobnie zrobiona, miała ozdoby z fioletowego atlasu, co także bardzo pięknie wyglądało. Inny znów, nie mniej oryginalny i ładny garnirunek czarnej jedwabnej spódnicy, tworzyły klapki z fioletowej materji umieszczone w wielkich odstępach jedna od drugiej, które można było zapinać w ten sposób że spódnica przybierała się zupełnie czarno. Jedną więc suknią mogła dwa ubrania zastąpić.

U pana Thonnes'a oglądaliśmy na przystrojonej i utrefionej głowę zarzutki z białego kaszmiru, ozdobne kolorowemi wstążkami w cenie rs. 10. Tworzyły one rodzaj burnusika który pokrywał do połowy całą figurę. Także białe kaftaniki *draps de velours* z wyłogami pasowemi aksamitnemi i guzikami z massy perłowej po rubli 15. W téjże cenie były bardzo ozdobne spódniczki pod suknie, których szlak tworzyły duże medaljony aksamitne oszywane szczoteczka z wstążki. Śliczne wachlarze gładkie drewniane lub téż na takiem tle malowane w kwiaty i ptaki różnokolorowe. Pierwsze po rs. 3 drugie po 4. Wachlarze z drzewa tak zwanego ołówkowego najwięcej nam się podobały, gładkie po rs. 5 — malowane na tle czarném również po rs. 5. Były téż i dużo droższe wachlarze z białej mory, kości słoniowej etc. etc., ale o tych nie wspominamy jako o rzeczach znanych. Pasy szerokie złote i srebrne z takiemiż dużemi klamrami, kosztowały po rs. 6 — same zaś klamry czy to *or mat*, emaljowane, szylkretowe inkrustowane złotem lub z massy perłowej kosztowały po rubli 3 — 4 — do sześciu. Pan Thonnes sprowadził mnóstwo pięknych a nie kosztownych klejnotów w nowym zupełnie rodzaju, jak n. p. kółczyki *z cristal de roche* i brosze także same. Kółczyki szczególniej pięknie wyglądają, oczka ich i podłużne gruszki są rznięte w kanty i lśnią jak djamentowe. Mniejsze kosztują złp. 20 większe 30 i 40. Okrągłe zielone kryształowe kółczyki kosztują złp. 12 — brosza do nich rubla a także bransoletka dwa ruble. Grzebień do przepięcia kokardy z włosów kosztuje rs. 5, szpilki bardzo ładne do tegoż użytku złp. 15. Najwięcej jednakże zwrócili uwagę naszą świeżo również z Paryża sprowadzone brosze i kółczyki wyrobione według wzorów klejnotów starożytnych słynnego muzeum Campana. Napatrzyć ich się dość niemożna tak są oryginalne i piękne, osobliwie téż brosze z kameami z różnych kamieni w pośrodku. Ceny ich są od złp. 15 do rs. 7. Kółczyki najładniejsze były długie, naśladowujące gładki złoty wyrób, niektóre z nich wyglądały prawdziwie jak gdyby świeżo wynalezione w zwaliskach Herkulanum i Pompei, z kąd ich wzory pewno pochodzić musiały.

W składzie bielizny pana Sokołowskiego i Wilczewskiego na Krak. Przed. w gmachu obok Dobroczytnności, oglądaliśmy oprócz pięknych płócien,

skarpetek i t. p. rzeczy, gotową bieliznę starannie bardzo wykończoną. Jest ona w rozmaitych cenach stosownie do cienkości płótna i wypracowania ozdobniejszego i tak tuzin koszul kobiecych kosztuje od rs. 26 do 72, męskich od rs. 40 do 96. Gorszy do koszul męskich są od złp. 2 gr. 20 do złp. 8. Kołnierzyki stojące po złp. 1 gr. 10, mankiety 2 złp. gr. 10. Kołnierzyków kobiecych mnóstwo jest także, zaczawszy od gładkich płóciennych ze sznurczkami wszywanemi do koła, które wraz z mankietaми kosztują po złp. 2 gr. 20 aż do garniturów haftowanych batystowych od złp. 8 gr. 20, do trzech rubli. Płócienne haftowane są od 3 gr. 20, Z droższych tego rodzaju najładniejsze te, które mają wrobione w płótno haftowany batyst lub wstaweczki z koronki (valenciennes). Do nowości należą kołnierzyki i mankiety skórzanne po rs. 2. Weloniki czarne koronkowe są od złp. 5, fasonu zaś zwanego *masque* otoczona czarną sznelkową frendzlą kosztują po złp. 6 gr. 20. Ładne czapeczki ranne bengalowe zalecają się nader przystępną ceną, kosztują bowiem od złp. 4 do złp. 15 gdy przyozdobione haftem lub wstążkami.

Pranie bielizny.

Dwa funty mydła pokrajanego rozgotować w pewnej ilości wody miękkiej, wlać potem w dużą balję dodając tyle ciepłej miękkiej wody, ażeby razem było garny 14. Dodaje się do tego sześć łutów olejku terpentynowego i 10 łutów amoniaku, dobrze mieszając wszystko, uważać należy aby te olejki nie wlewać w wodę gorącą tylko w ciepłą, gdyż inaczej tracą swą własność. Bieliznę brudną suchą układać po parę sztuk w wannę i polewać tym płynem upychając rękami ażeby się dobrze zamaczała. Tak namoczona bielizna powinna stać godzin 10; potem prać w tym samym płynie w którym jest namoczona niedolewając wody — trzeba bardzo starannie każdą sztukę wycierać, bo od pierwszego wytarcia zależy aby się pranie udało. Następnie układa się bielizna znów do wanny polewając już zupełnie czystą bez mydła dobrze gorącą wodą, tak niech poleży z godzinę. Po wypraniu z zaparzenia płukać, krochmalic i wieszać. Takim sposobem prana bielizna, jeśli jest zażółconą wraca do pierwotnej białości, ma się rozumieć nie od pierwszego prania. Możemy zapewnić czytelniczki że wskazane wyżej olejki nie psują bielizny, wiemy to najpierw od chemików, a potem z własnego doświadczenia. Ilość przez nas podana wody mydła i olejków wystarcza na 130 sztuk bielizny cienkiej. Chcąc zamiast farbki użyć ultramariny która na ten cel jest daleko lepsza, trzeba wziąć pewną jej ilość n. p. pół łuta, wsypać w dubeltowy płócienny gałganek, zawiązać mocno i dopiero moczyć w wodzie, a tą wodą farbkować bieliznę. Łut ultramariny gorszego gatunku kosztuje w składach materiałów aptecznych złp. 1 — lepszego zaś półtora złotego, funt olejku terpentynowego w tychże składach złp. 3 — a funt amoniaku dwa złote. Sposób prania przez nas wskazany jest oszczędniejszy daleko od zwyczajnego, bo zabiera mniej czasu i mniej mydła potrzebuje, bielizna zaś nie drze się długim tarcie.

MODA III.

Paryz dnia 15 Grudnia 1864 roku.

Miniaturowe mufki paryżanek. Kapelusze bez główki. Stanowczy powrót atlasów w ubiorze kobiet. Suknie liniowane. Szlafroczy kaszmirowe.

Pierwszém wrażeniem po rozpatrzeniu się w paryzkich ubiorach i paryzkim klimacie jest podziw, że my u których mróz do kilkunastu stopni w Grudniu już dochodzi, a wiatry ostre przejmują do kości, możemy naśladować sposób ubierania się ludzi, którzy w Grudniu mają jeszcze dnie, jeżeli nie zawsze pogodne to dość ciepłe, a często jasne słońca promienie ulice ich miasta ozłocą i zwabiają na szybko osuszone chodniki, kobiety strojne w koronki, pióra i aksamit. Gdzie tu mowa być może o długich okryciach tak koniecznych na dnie wiatru mroźnego, a jeżeli w dzień chłodniejszy pa-

ryzanka schroni ręce do futrzanego mufka, to on jest tak mały że nas, dzieci północy, śmieszty tylko, bo wydaje się jakby pożyczony od dziecka. I takie to ubranie żywcem do nas przynieść? doprawdy zdaje się że niepodobna uczynić tego, bez narażenia się na dwa tuziny chorób co najmniej. A jednak cóż robić? trzeba iść w tym za drugimi, bo mody paryzkie naśladuje cała Europa, co mówię? wszystkie części świata w każdym zakątku, gdzie ludzie mają pretensję do poluru tak zwanęj cywilizacji. Czyż ś. p. Adelina żona Suluka cesarza z San Domingo nie sprowadzała sukien z Paryża, jakkolwiek jęj znowu musiały się zbyt gorące wydawać. Naśladujmy więc, ale z pewnymi modyfikacjami, które nam klimat wskazuje. I tak naprzykład śliczniećki są dzisiejsze paryzkie kapelusze, to powabna ramka do delikatnego owalu kobiecej twarzy, wyglądającęj z pośród kwiatów, koronek i piór i olśniewającego blasku oczów, tych djamentów, którym nic nie zrówna, gdy w nich płoną młodego życia żary. Ależ te pieszczone kapelusiki odkrywają tył głowy zupełnie, czasem zwiśnie tylko nań pęk kwiatów, lub ptaszek barwisty usadowiony z boku zdaje się otulać śwem skrzydełkiem. Wszystko to bardzo poetyczne, ale doprawdy nie na mróz. Buły z krepy lub koronki przetykane we dwoje złożonemi aksamitkami, nie wiele cieplejsze i jakkolwiek tył głowy ubierający kok jest dobrze wypełniony jakąś elastyczną krętaniną, której jedynie perukarze mają tajemnicę, nie okrywa przecież tak, żeby od zaziębienia uchronić. Sądzę jednak że u nas możnaby powtarzać te paryzkie koncepta nie na spadającym fanszoniku z tiulu ale na gruntownęj podstawie z aksamitu, łatwiej się bowiem kapelusze obejdzie bez karczka niż bez główki. Uważam tu najwięcej kapeluszy czarnych ubranych pąsowo, lub z różami. Fijałkowych także daje się widzieć nie mała liczba, jest to bowiem kolor, który co rok wraca w ubiorach zimowych. Wiele bardzo kapeluszy mają od wierzchu długie wstążki spadające aż na plecy; aksamitki nie dają się tak długie, ale za to najczęściej podwójne. Po bokach dawniej używaną blondynkę zastępują rulonami aksamitu lub wstążki. Liście z kolorowego aksamitu przepinające częstó kapelusza na wierzchu w miejscu gdzie dawniej była główka, bardzo pięknie wyglądają. Na strojne suknie obok *moire antique* tak zawsze wspaniałej, jakby dumnej i nadętej z bogactwa swęj tkaniny wzorzystęj, stanął równego z nią pochodzenia i nie mniej monarchiczny atlas. Fabryki francuzkie robią cuda z nikłęj przedzy jedwabnika, wszystkie jęj właściwe zachowując przymioty. Co to za miękkosć i elastycznosć tego atlasu, co się daje zmiąć jak koronka, a jest gruby jak skóra. Nie ma też postaci, którejby prześlicznie nieubierały jego połyskliwe draperje. Czarny zaczyna być bardzo noszony, a do wielkich ubrań przygotowano atlasy jasno popielate, ciemnolazurowe, lub wprążkowane drobne kwiaty, które wszystkie są najświetniejszęj piękności. Lżejsze materje jedwabne i wełniane, mają prążki tego samego koloru, lub wąziutkie czarne w pewnych odstępach, przypominające linje przygotowane dla muzyki, linje bez nót ma się rozumieć. Wracają się też dawne rzuciki broszowane. Suknie do codziennęgo ubrania nie garnirują się wcale, albo bardzo skromnie jedną rurkową falbanką. Jest także do garnirowania sukien strojnieszych pewien rodzaj aksamitu, który wygląda niyb nabijany stalowemi goździkami, co jest oryginalną ozdobą. Szlafroki, jakich wzór posyłam wam na Styczniowęj rycinie, są bardzo noszone przez młode i starsze mężatki, jest to bowiem ubranie tak poważne jak dla matki rodziny, a jednak pełne wdzięku być może. Robi się zwykłe z kaszmiru, z przodu roztwiera się, aby pokazać ozdobną haftowaną spódnicę, po dwóch stronach zaś i w około, poczawszy od pasa, bywają obszyte albo szlakiem kaszmirowym, albo też materją jaśniejszego koloru pokrytą gipiurą. Nie potrzebuję dodawać, że to jest tylko strój ranny, domowy, na wizyty zaś biorą się najczęściej suknie z materji jednostajnego koloru, z taką samą okrywką.

(D. n.)



KÓŁKO DOMOWE

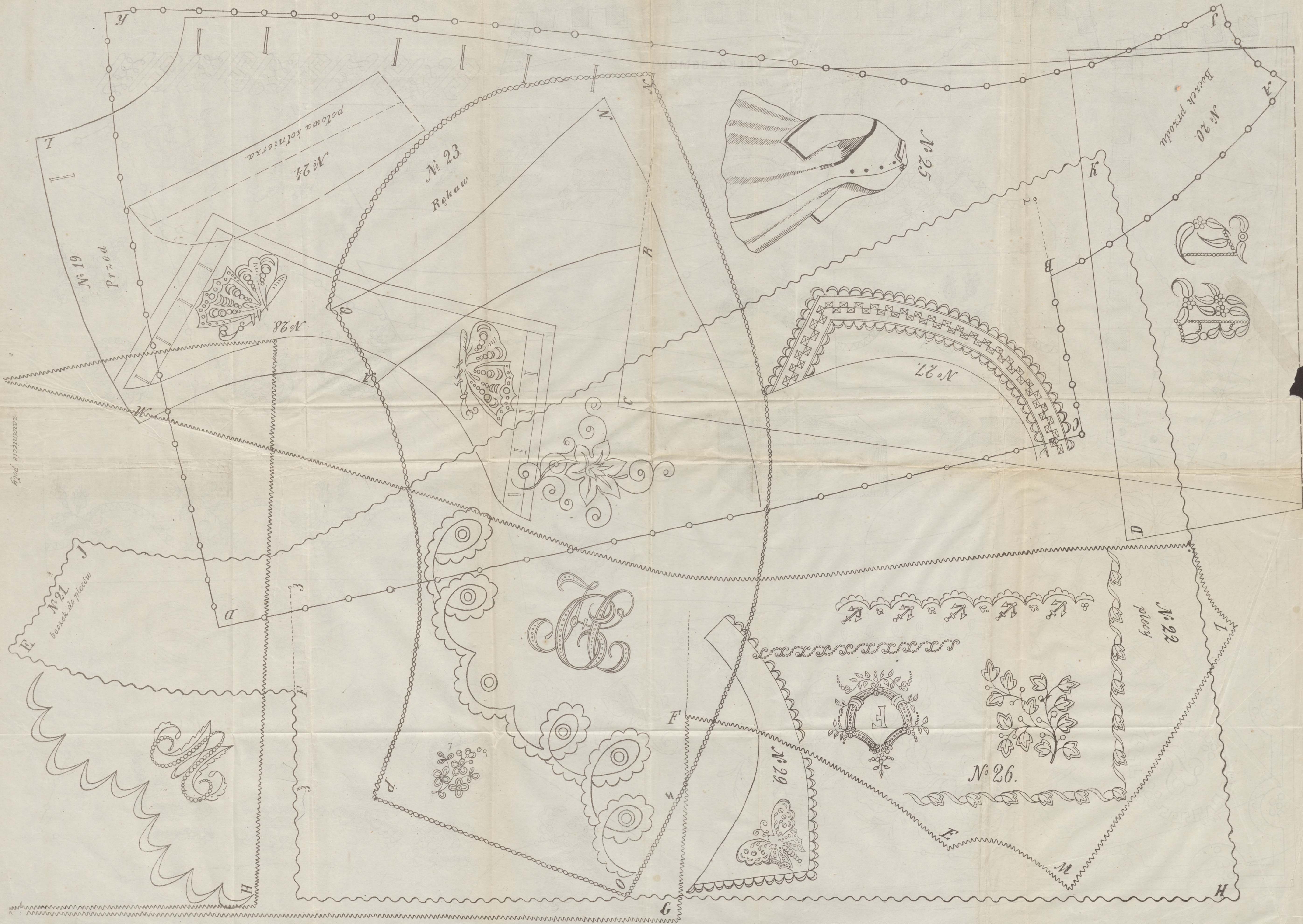
Miesiąc Styczeń.

Exempl. Bibliot.



№ 7
Półkula
Czajniczka
KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Styczeń 1865. rok





N^o 19.
Przęd

potłowa kolnierz
N^o 24

N^o 23.
Rekaw

N^o 25

Bożek przodu
N^o 20

N^o 28

N^o 27

zamięta p^oty

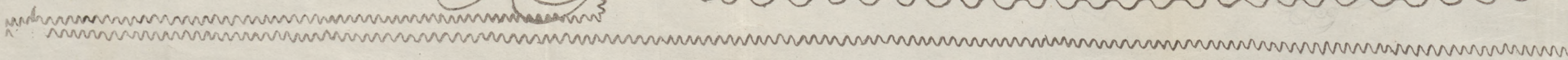
N^o 21.
bożek do pleców

N^o 22
płoty

ES

N^o 29

N^o 26.



SPIS PRZEDMIOTÓW.

POWIEŚĆ O BAZYLISSIE z CZEŚNIK przez *A. z Ch. Borkowską* z dwoma drzeworytami.
 UROCZYŚCIE W ŻÓŁKWI z drzeworytem.
 ISOTTA urywek z dziejów włoskich *Cezara Cantu* przez *Kaz. Kaszewskiego*.
 PRZEGLĄD MUZYKALJI przez *A. Boguckiego*.
 Przy tém Tablica rysunków. Objasnienie téjże tablicy. O Ubiorach.
 Korrespondencja o modach z Paryża i Przepis prania bielizny.

WARUNKI PRENUMERATY.

Z przesyłką pocztową	<table style="border-left: 1px solid black; border-right: 1px solid black; border-collapse: collapse;"> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Rocznie . . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">Złp. 40 gr. —</td> <td style="padding: 2px 5px;">Rsr. 6 kop. —</td> </tr> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Półrocznie . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 20 „ —</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 3 „ —</td> </tr> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Kwartalnie . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 10 „ —</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 1 „ 50.</td> </tr> </table>	Rocznie . . .	Złp. 40 gr. —	Rsr. 6 kop. —	Półrocznie . .	„ 20 „ —	„ 3 „ —	Kwartalnie . .	„ 10 „ —	„ 1 „ 50.
Rocznie . . .	Złp. 40 gr. —	Rsr. 6 kop. —								
Półrocznie . .	„ 20 „ —	„ 3 „ —								
Kwartalnie . .	„ 10 „ —	„ 1 „ 50.								
Bez przesyłki	<table style="border-left: 1px solid black; border-right: 1px solid black; border-collapse: collapse;"> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Rocznie . . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">Złp. 33 gr. 10</td> <td style="padding: 2px 5px;">Rsr. 5 kop. —</td> </tr> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Półrocznie . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 16 „ 20</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 2 „ 50.</td> </tr> <tr> <td style="padding: 2px 5px;">Kwartalnie . .</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 8 „ 10</td> <td style="padding: 2px 5px;">„ 1 „ 25.</td> </tr> </table>	Rocznie . . .	Złp. 33 gr. 10	Rsr. 5 kop. —	Półrocznie . .	„ 16 „ 20	„ 2 „ 50.	Kwartalnie . .	„ 8 „ 10	„ 1 „ 25.
Rocznie . . .	Złp. 33 gr. 10	Rsr. 5 kop. —								
Półrocznie . .	„ 16 „ 20	„ 2 „ 50.								
Kwartalnie . .	„ 8 „ 10	„ 1 „ 25.								

Osoby mieszkające w Cesarstwie, a nie odbierające innych pism Warszawskich w kopertach, winny dopłacać rocznie Rsr. 1 na kopertę; tak samo i mieszkańcy Królestwa zapisujący prenumeratę nie na stacjach lecz w Warszawie.

Prenumerować można na stacjach i Urzędach pocztowych, tudzież w Warszawie w Biórze Ekspedycji Gazet, we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych, oraz w Redakcji Kółka, przy ulicy Śródkrzyżkiej w domu W. Kornbergera pod Nem 1342, w Krakowie zaś w księgarni *Friedleina* i na wszystkich stacjach Cesarstwa Austriackiego, a w Królestwie Pruskim także na pocztaach i w Poznaniu w księgarni *Żupańskiego*.

Nakładem księgarni *A. Dzwonkowskiego* ulica Miodowa Nr 482 nowy 4, wyszedł Nr 6. BIBLIOTEKI TEATRALNEJ i obejmuje *Otona Łuczniaka* wielką operę w 5 aktach przez *Jana Chęcińskiego* napisaną, cena z portretem autora muzyki Złp. 2. 30k. *Adam Münchheimer* nabywca na własność tej muzyki zwyż wymienioną księgarnią zwraca uwagę osób chcących przyjść w pomoc temu kunsztownemu wydawnictwu, że cena prenumeracyjna kompletnej partycji fortepianowej tej opery z tekstem oznacza się na złp. 66 gr. 20. rs. 10. Cena ta nadzwyczaj niska stosownie do objętości dzieła (przeszło 360 stronnic) po ukończeniu sztychu i druku znacznie podwyższoną zostanie. Cena prenumeracyjna wyciągu fortepianowego który w krótkim czasie opuści prasę oznacza się na złp. 24 (3 rs. 60 k. Uwertura sprzedaje się osobno za złp. 4 (60 k.) na 2 ręce a złp. 5 (kop. 75) na 4 ręce.

MAPPA EUROPY w języku polskim w 4ch sekcjach. 1sza Sekcja tej mapy całkiem ukończoną została a egzemplarze odbite na czarno są do obejrzenia złożone w księgarni Polskiej *Adama Dzwonkowskiego*. Osoby życzące sobie podjąć się kolorowania tej mapy za umiarkowane wynagrodzenie, raczą się zgłosić do téjże księgarni gdzie bliższe porozumienie się może nastąpić. Cena prenumeracyjna na jakiś czas jeszcze wynosi za wszystkie 4 sekcje po rs. 3 po wyjściu podniesioną będzie na rs. 4.

Przepraszamy przy tej sposobności szanownych prenumeratorów za opóźnienie z tém wydawnictwem, ale zapewnić możemy że ono miało miejsce z powodów całkiem od nas nie zależnych, bo co do nas to staraliśmy się zawsze i starać będziemy na przyszłość wywiązać się sumiennie z przyjętych względem publiczności zobowiązań.

GOSPODYNI POLSKA CZYLI PORADNIK DLA NIEWIAST NASZYCH poprzedzony wstępem o porządku domu, wyszedł nakładem księgarni *Bernsteina*.

CZYTANIA WIECZORNE wychodzą w terminach nieoznaczonych, książeczkami z których każda pojedynczo sprzedaje się po złp. 1.

Przeznaczenie tej publikacji: do czytania bezpiecznego w kółkach domowych.

Pierwsze książeczek sześć obejmują powieść *J. F. Smitha*, z angielskiego, p. t. *Niedole i pociechy*, T. 2, sprzedającą się w całości złp. 6. Dalszym ciągiem tej publikacji są *Listy moralne* jak tytuł wskazuje poświęcone młodszemu pokoleniu polek. Składają one książeczki 7, 8, 9 i 10 *Czytań Wieczornych* sprzedają się téż w całości, jako osobne dziełko za złp. 4, na papierze zwyczajnym; złp. 5 na welinie. Egzemplarze kartoprowane o gr. 20 drożej, to jest po złp. 4 gr. 20 i po złp. 5 gr. 20.

Wyszła z druku **MINERALOGJA** treściwie zebrana dla kształcącej się młodzieży płci obojga. Polecamy to pożyteczne dziełko jako odpowiadające dobrze swemu zadaniu. Cena złp. 3 gr. 10.

OBRAZKI Z ŻYCIA ŚWIĘTOBLIWYCH I BOGOBOJNYCH POLAKÓW I POLEK, przez *Józefę Śmigielką* i *A. z Ch. Borkowską*, wyszły nakładem księgarni *Gebethnera i Wolfa*, w drugim wydaniu staranném i ozdobném, w cenie złp. 10.

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI przez *A. z Ch. Borkowską* za złp. 5, jedynie dla prenumeratorów Kółka, zwyczajna zaś cena rs. 1.

MARJA KLEMENTYNA, przez *A. z Ch. Borkowską*, po złp. 5.

SZKIC BIOGRAFICZNY KSIĘDZA WACŁAWA SZTULCA, KANONIKA WYSZECHRADZKIEGO, jest do nabycia w redakcji Kółka za złp. 2.